

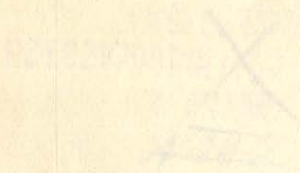
SZABLA I PIÓREM

SZABLA

PIÓREM



Faint, illegible text impression, possibly a library or archival stamp.



Faint, illegible text impression at the bottom of the page.

duplet do: 4.5.11.68
118010

BK.



STANISŁAW ROSTWOROWSKI
PODPORUCZNIK LEGIONÓW POLSKICH.

SZABLA
i
PIÓREM



DRUKOWANO ZA ZEZWOLENIEM
C. K. WOJENNEJ KWATERY PRASOWEJ.

~~POSELSTWO
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
W PRADZE
4762~~

623a.

KRAKÓW - 1916
NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA
WYDAWNICTW N. K. N.



02



159016



RECEPTY
1984

D-316/84

*Poległym, rannym i walczącym
Towarzyszom broni.*

P R Z E D M O W A.

Wobec wielkich wypadków, jakie nasz naród przeżywa, może się komuś wydać dziwnie nikły plon literacki tej epoki. Szpalty pism codziennych zapełniają się wprawdzie literaturą wojenną, pełno jest wierszyków legionowych, ale utwory te literacko na ogół są słabe; silnych i wstrząsających przeżyć wrażenia, które dostają się pod pióro poetów, z małemi wyjątkami tracą na intensywności i nikogo wzruszyć nie są w stanie.

Objaw ten dla mnie zupełnie zrozumiał. Sztuka wzniosła może spoglądać na bieg wydarzeń tylko sub specie aeternitatis. Brak jeszcze oddalenia, jeszcze nie dokonało się to, na co czekamy, tragedji dziejowej koniec może blizki, ale nie zastygły jeszcze czyny bohaterów u stóp posągu narodowej chwały.

Co może umysł wrażliwy, a biorący udział w zawierusze wydarzeń, uczynić innego, jak notować — sobie i potomnym — pro memoria to, co widzi i w czem jest w części aktorem.

Takim notatnikiem żołnierza, spisywanym w dniach krwi i chwały jest ta książka. Nosi ona tytuł „Szablą i piórem“, a cała jej wartość jest w tem, że nie piórem tylko szablą pisana.

Mimo starannej formy i pięknego języka książka ta jest nieliteracką, jest swobodnem opowiadaniem o tem, co wczoraj się działo, a jutro znów dziać się będzie.

Koń ułana piszącego notatki stał osiodłany przed

kwaterą, bo w każdej chwili mogli zawołać na alarm. A jeżeli mimo tego znalazł ten ułan czas na zastanowienie się nad psychologią żołnierza, to dlatego, że czując się przede wszystkim żołnierzem, swoje własne przeżycia w świcie kul i szrapneli bezpośrednio notował. Pisał więc, gdy chwilowo przestał się bić i spisał to, co mu z różnorodnych wrażeń gwary bitewnej w pamięci zostało. I wydarł wojnie — tej nielitościwej, nieubłaganej konieczności — tajemnicę piękna, która leży w obojętności duszy ludzkiej w obliczu śmierci i okrucieństwa, a zowie się w języku żyjących — bohaterstwem.

Kiedyś będzie ta książka cennym materiałem historycznym dla tych, którzy duszę naszej epoki odtworzyć zechcą, będzie pomnikiem dla wielu bezimiennych, którzy życie swe na ołtarzu Ojczyzny z ochotą ofiarowali.

A dla nas, współczesnych, jest ona tylko swobodną rozmową z ułanem, który w wielu bitwach był, wiele rzeczy widział, spamiętał i ładnie je teraz opowiada.

Ludwik Hieronim Morstin.

OBJĘCIE DOWÓDZTWA.

W pogodny dzień trzeciego września ruch panował w budynkach konnego „Sokoła“. To ochotnicy zwołani Manifestem z 16 sierpnia zebrali się na ćwiczenia w kawaleryjskiej służbie. Było ich przeszło 200, a 60 koni zapępniało stajnie stojące w głębi maneżu.

Dziwny widok przedstawiali zebrani tam ludzie. Obok modnie skrojonych żakietów i sportowych ubrań, bielily się góralskie cuchy, obok habigowskich meloników przewijały się czapki studenckie, słomiane kapelusze bronowickich Wojtków, wygięte ronda malarzkich bollerów i wytarte robotnicze kaszkiety. Kilkanaście jasno zielonych mundurów odbijało wesołemi plamami od szarego tła większości.

Zewnętrzny wygląd kawaleryjskiej kadry odtwarzał wiernie nastrój moralny zebrania. I tutaj bowiem panowała dziwna krańcowość. Każda wielka i silna idea ma to do siebie, że gromadzi na swym ołtarzu cudne kwiaty poświęceń i blaszane liście pozorów — drogie kamienie uczuć serdecznych i malowane szkiełka niskich, prostaczych duchem ambicyi. I wówczas inaczej nie było.

Na hasło: „Do broni!“ stanęli w szeregach legionowych ludzie najrozmaitszego kalibru. Byli tam więc poważni obywatele kraju, którzy z doświadczeniem nagromadzonem w ciągu wielu lat pokojowej pracy, ale i z zapalem młodzieńczym zgłosili się jako jedni z pierwszych na rzucony odzew. Poświęcali oni w tym

momencie i życie swe i zdrowie, nieraz trudom wojny już niewspółmierne, piękne urzędy, dobrobyt, przeszłość i przyszłość swoją i swoich rodzin. Nie byli to nierozważni zapaleńcy, lecz ludzie zdający sobie sprawę z tego, co czynią i dlaczego przykładem chcą innym zaświecić.

Byli tam artyści i literaci o znanych szeroko nazwiskach. Ukochali oni Polskę przez sztukę, marzyli dotąd farbą i słowem o jej powstaniu, więc nie dziw, że szli teraz w szeregi, by czynem szczerą uczuć stwierdzić.

Byli tam obywatelscy synowie z Królestwa, którzy za zgodą rodziców na kartę stawiali może z nas wszystkich najwięcej, bo liczyć nie mogli, na żadną pobłażliwość dla siebie i swoich bliskich. Był tam jeden, który przed miesiącem dopiero po wielu walkach z przeciwnościami poślubił młodą żonę, a teraz ją opuścił, bo zawołało nań silniejsze uczucie — miłość ziemi ojczystej. Byli i tacy, którzy zataili szarże oficerskie, jakie im w armii przysługiwały, i brali na siebie dobrowolnie obowiązki szeregowców, by bezinteresowność swą stwierdzić. Byli tam ludzie prości, bez historycznych nazwisk, bez obowiązków przekazanej przez przodków tradycyi, lecz z sercem szczerze polskiem i z chęcią stworzenia właśnie historycznej tradycyi rodów.

Wśród złotego ziarna zapału, spokojnego ale mocnego postanowienia i poświęcenia trafiały się domięszane plewy. Przybywali więc ochotnicy niezdecydowani, nadsluchający za głosem opinii, idący niechętnie, a wstydzący się nie iść, po paru dniach zgłaszający swe wystąpienie i żegnani radośnie przez pozostałych.

Trafiali się fanfaroni, którzy na wiadomość, że

szwadrony w pole wyruszają, nagle fantazyje tracili i na miejskim bruku pozostać mieli. Znaleźli się ludzie ambitni, żądający wysokich rang, a małych obowiązków.

To były plewy wśród złotego ziarna.

Gorszymi od nich były fermenty przeciskające się w to środowisko z zewnątrz. Wahania, dyskusye, krytyki, obawy, często publiczne — nierzadko osobiste, sunęły jak malaryczne mgły jesienne nad nami. Przebiła się w nich nieraz istotnie szczerą troską o przyszłość i obawa odpowiedzialności przed narodem i jego historią, ale z drugiej strony osłaniała ona prostą tchórzliwość tych, którzy po kilku miesiącach i tak iść musieli, ale nie na ochotnika. Mgły te kłębiły się nad nami nieraz tak gęsto, że tłumiły oddech i zatrzymywały powietrze. Przyszły potem czasy ciężkie, chłodu, głodu, trudów, ran i śmierci. Ale w chwilach najcięższych — tam w polu — powtarzali sobie nieraz ci, co wytrwali, „że gorzej już bywało — wtedy — w okresie ćwiczeń w krakowskim Sokole“.

Jeden z takich dni — było to w wilię uroczystej przysięgi na błoniach — szczególnie przykre mi wiadomościami zanotował się w naszej pamięci. Doszły bowiem echa trudności wynikających z postawy Legionu Wschodniego, znaną już była przerwa ofensywy w Kieleckiem, ode Lwowa płynęły wieści niedobre, a nawet stanowisko „Sokoła“, na gruncie którego formowała się ta część kawalerii, dzięki wpływom lwowskiej Macierzy, również nie było wyjaśnione. — W takim momencie przyniósł ktoś z komendy wiadomość, że do Krakowa przybył Zbigniew Dunin Wąsowicz dla objęcia nad nami dowództwa. W ochotniczym gronie zaroilo się od pytań o osobę przyszłego komendanta. Nie wiele jednak szczegółów można było zasięgnąć. Bar-

dziej wtajemniczeni opowiadali, że był on dłuższy czas oficerem ułanów, że potem zajął się organizacją strzelecką w Brzeżanach i Rzeszowie, że był już w Kieleckiem i że w czasie bitwy pod Brzegami rozwoził, jako adjutant, rozkazy samego Piłsudskiego.

Relacje te usposobiły nas sympatycznie dla oczekiwanego rotmistrza. Każdy, kto zakosztował już wojny, otaczany był wówczas pewną aureolą rycerskości, a wojskowe wykształcenie budziło z góry pewne zaufanie do przyszłego wodza.

Pod wieczór zestawiono nas w szeregi na zapowiedzianą inspekcję. Pluton barwnie umundurowanych wystawiono na przedzie dla większej okazałości, reszta w cywilnych jeszcze strojach kryła się skromnie w tyle. Warta przy bramie, opatrzona jedynie wówczas posiadanyymi sześciu karabinami, otrzymała specjalne instrukcje, jak się ma zachować. Nastrój wywołany świeżymi dyskusjami politycznymi był rozgorączkowany, plac ćwiczeń rozbrzmiewał kończonymi naprędce sporami, jak ul na wyroju.

Przed bramę zajechał wózek zaprzężony w dwa kasztany, kucyki, warta krzyknęła „Baczność!“ i sprezentowała broń. Na dziedziniec wszedł Wąsowicz.

Niski wzrostem, po żołniersku opięty w szary, skromny mundur strzelecki, bez żadnych odznak, tylko z czerwonym sznureczkiem od gwizdka znaczącym szarżę oficerską, twarz opalona od słońca i wiatru, w ręce żółta trzcinka.

Meldunek dotychczasowego komendanta Ostrowskiego o stanie ludzi i koni rozległ się wśród panującej ciszy. Wąsowicz przeszedł wzdłuż szeregów, popatrzał w oczy ochotnikom, uśmiechnął się na widok tych różnobarwnych strojów i postaci i przemówił krótko:

„Legioniści! Z rozkazu Komendy obejmuję nad wami dowództwo. Cieszę się myślą, że w wielkiej wojnie z wrogiem Polski — Rosyą, pójdziemy razem, w naszym mundurze, bić się za Ojczyznę. Jutro o godzinie czwartej rano — zbiórka“.

Ukłonem pożegnał komendanta, padł rozkaz „Rozejść się!“ — inspekcja była skończona.

Rotmistrz wszedł do stajni obejrzeć konie, kazał sobie osiodłać siwego arabyzka „Selima“ i za chwilę przejeżdżał go spokojnie na maneżu imponując nam wysoką szkołą jazdy.

* * *

W miesiąc później jechaliśmy na Węgry. Przyszła potem ofenzywa nadwórniańska, cucyłowska bitwa, zima w Karpatach, walki nad Dniestrem i Prutem, rokintniańska szarża... Rotmistrz legł w żołnierskiej mogile.

Minęło wiele miesięcy — a miesiące na wojnie długie są jak lata. Ale pamięć tej pierwszej inspekcji wśród nas nie zbladła. Dotąd brzmia nam w uszach wypowiedziane wówczas wśród chaosu dyskusji, krytyk i wahań te krótkie słowa dowódcy. Proste były one, lecz brzmiały hartem manifestu. I tylko żal bierze, że ludzi mu podobnych było wtedy wśród nas tak mało...

PIERWSZA BITWA.

Po forsownych marszach przez przełęcze karpackie i po kilku dniach spędzonych na podjazdach, jako przednia straż Legionów, rozkwaterował się drugi szwadron w świeżo zajętej Sołotwinie. Kwatery były wygodne, gościnność miejscowej ludności wielka, to też nie dziw, że tamtejszy pobyt zapisał nam się dobrze w pamięci.

Nie trwał on jednak długo. Już nazajutrz, 25 października wyjechało kilka patroli, a pod wieczór doręczona odprawa zapowiadała wymarsz całego szwadronu do Staruni. Dalsze rozkazy dojść nas miały po przybyciu na miejsce. Świt nie zdążył rozjaśnić jeszcze brzegów Bystrzycy, gdy ułani wyjeżdżali z miasta. Po sprawności w siodłaniu koni i punktualnej zbiórce poznać było można pewne wyrobienie w żołnierskim zawodzie. Na ogół jednak ułani tworzyli z punktu widzenia wojennego materiały nader surowy. Wszak to zaledwie dwa tygodnie temu otrzymaliśmy szable i karabinki, próbne strzelanie ostrymi ładunkami odbyło się raz tylko jeden i to na postoju w czasie marszów, ćwiczeń konnych całego szwadronu nie dało się dotąd wykonać z braku sposobności.

Pewna część żołnierzy była co prawda ostrzelana już na poprzednich patrolach, reszta widziała już bitwę pod Pasieczną, ale czynnie wystąpić razem nie zdarzyło nam się dotąd. Ponieważ byli to ochotnicy, a większość miała za sobą wykształcenie uniwersyte-

ckie, więc łatwo było przewidzieć, że w stanowczym momencie nie zawiodą.

Koło 8-mej rano szwadron zajechał pod cerkiew w Staruni. W szeregach nakazano ciszę, gdyż w okolicy miały się pojawić patrole kozackie. Wystawiono pikiety na wsze strony i czekano dalszych rozkazów. Z chałup wiejskich zaczęły się powoli wychylać co ciekawsze młodocyce rusińskie; z początku spoglądały nieufnie, ale wnet podsłuchawszy, że to „nasze wojaki“, a nie Moskale, zakręciły się po obejściach i wróciły z garnkami mleka, kromkami chleba i tem podobnemi delicyami.

W pół godziny później przykłusował drogą od Nadwórnej pluton chorążego Borkowskiego wioząc oczekiwane instrukcje. Z mieniającej się twarzy Rotmistrza podczas czytania odprawy poznaliśmy, że się zanoszą na jakąś poważniejszą robotę, to też zaciekawienie było ogólne. Niestety Rotmistrz milczał, obejrzał tylko mapę, objaśnił cicho oficerom cel drogi i wnet dał komendę „Do wsiadu!“. Po raz pierwszy wówczas dała się nam we znaki niepewność tego, co nas czeka. Z czasem żołnierz przyzwyczaja się do niej, ale rezygnacja podobna na razie miłą nie jest. W dzień ów trudno jednak było się długo smuć; po zejściu mgły zrobiła się cudna jesienna pogoda, tak, że oko nie mogło się nacieszyć grą barw wędnących olszynek i dąbrów. Pewnem było zresztą jedno, że jedziemy na Moskale i to nam podnosiło tylko uczucie radości z życia i całego świata.

Po godzinnej jeździe rotmistrz wstrzymał nagle konia i huknął gromko: „Stój! Do walki pieszej numery jeden, dwa, cztery z koni!“. Rozkaz ten padł tak niespodziewany, że w czwórkach zrobiło się dość silne za-

Szabla i piórem.



~~POSELSTWO
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
W BRANIE~~

mieszanie. Uplęło dobrych parę minut, zanim zrozumieliśmy znaczenie tych słów i jak wydany rozkaz wykonać należy.

Linia spieszonych ułanów rozciągnęła się wreszcie wzdłuż szosy, konie w bok odprowadzono i wówczas okazało się dopiero, że to było tylko ...ćwiczenie!

Po chwili jechaliśmy już dalej, ale z wewnętrznym przekonaniem, że jeśli co do czego przyjdzie, to sformowanie spieszonego oddziału skutecznym znacznie zwawiej i zgrabniej niż za pierwszym razem.

Gdzieś z boku doszły nas echa dalekich wystrzałów armatnich; to piechota nasza atakować musiała Fitków. Na razie sądziliśmy, że szwadron również skieruje się w tamtą stronę, lecz niebawem ze zdziwieniem zauważyliśmy, że wzmocniona do 10 koni straż przednia pod komendą por. Zielińskiego skręca w bok, a reszta w sile blisko 70 szabel podążać ma zwolna za nimi.

„Jakiś atak flankowy“, pomyślał sobie jeden z drużym. Ułani wjechali właśnie w niewielki lasek brzozowy, gdy nagle ni stąd ni zowąd gwizdnęło nam coś nad uszami i kilkakrotny trzask karabinów ozwał się z za górki.

„Szwadron w prawo zwrot! Do walki pieszej! Z koni!“ huknęła komenda. Tym razem nie były to już tylko ćwiczenia, ale może właśnie dlatego w sekundę oddział był już sformowany. Tyralierką podsunęliśmy się na skraj lasu. Przed nami błonie, w głębi wieś Horocholina, na środku błonia krzyż, pod nim rzuca się w ostatnich kureczach padły koń, szpica nasza galopuje drogą, przed nią na 500 kroków gromadka czarnych konnych postaci ucieka z kopyta. Byli to Kozacy. Trzeci pluton z por. Toporem wymienił jeszcze kilka salw

w zajętych opłotkach wsi, poczem gwar uciech, potyczka była skończona.

Dwóch czy trzech rannych Kozaków zdołało się schować w gąszczach i znaleźć ich nie było można. Przy zabitym, ślicznym karym koniu, którego nam szczerze żal było, leżała obszerna burka czerkieska, obok siodła para nowych zrabowanych gdzieś butów, jedwabna sukienka, papierosy, oraz słoik wybornych konfitur. Rozdzieliwszy sprawiedliwie łupy, ruszyliśmy dalej. Za Horocholiną wyzyskał rotmistrz obszerną łączkę dla urządzenia kilku ćwiczeń w rozwijaniu linii do szarzy, w zajeżdżaniu plutonów, w razie zmiany frontu i tem podobnych ruchów, które w zwykłej armii ćwiczy się miesiącami w koszarach, a których nam przyszło się uczyć między jedną strzelaniną a drugą, dosłownie w obliczu nieprzyjaciela.

Dalsze manewry przerwał niebawem meldunek przedniej straży, że na wstępie do wsi Cucyłowa odkryła ślady świeżo opuszczonych licznych stanowisk kawaleryi. Kozacy spłoszeni widocznie strzałami z pod Horocholiny wycofywali się w stronę toru kolejowego. W odwrócenie można ich było zaskoczyć, to też ruszyliśmy ostrego klusa przez most na rzece i wpadliśmy do wsi. Na zakręcie drogi ukazali się nagle dwaj jeźdźcy, jeden na siwym, drugi na karym koniu, burki krucze, czapy futrzane. Kilkaset kroków za nimi jakaś czarna gromada.

Rotmistrz zorientował się momentalnie, że to patrol wywiadowczy Kozaków zamierza policzyć nasze siły. Pchnął więc część drugiego plutonu przeciw nim, a sam poprowadził pierwszy pluton w prawo przez wieś i dał komendę do szarżowania w kierunku rozległego błonia.

Na widok jednak, że pierwszy pluton wyciąga szable z pochew, niezdyscyplinowana jeszcze reszta ułanów porwała również za broń i ruszyła marsz — marsz przez opłotki. W ciasnej drodze między chałupami zwałił się z koniem ułan S., lecz dalsze szeregi skoczyły przez leżących tak szczęśliwie, że nie wyrządziły im żadnej krzywdy. Wypadliśmy hurmem na błonie, w głębi tor, wzdłuż niego stoi éma kozactwa i widać jakieś zaprzęgi. Warknęły karabinowe strzały. Rotmistrz obrócił się ku nam i, gdy ujrzał, że to cały już szwadron ze wsi się wysuwa, pasya go wzięła z tej nierozwagi i huknięciem „Psia krew!! Z koni!!“ osadził nas w miejscu i zmiotł ze siodła. W tej chwili zafurkotało coś powietrzem, trzasło w górze i obłoczek biały, jak łabędź, na niebo wypłynął. Posypały się na pięćdziesiąt kroków przed nami szczyrby jakieś, aż się kurz z ziemi poderwał.

Cóż u krośet! To chyba szrapnel tak wyglądał!“ pomyślał sobie jeden z nowicyuszów. Ale, że szkody nijakiej nie uczynił, więc tam bardzo uwagi na to nieznanne zjawisko nie zwrócono.

Czasu zresztą na obserwacye nie stało, bo już rotmistrz linię do obsadzenia wybrał i do wsi z końmi cofnąć się nakazał. I w tym momencie znów brak dyscypliny na jaw wyszedł. Jeden drugiemu rzucał cugle, chwycił za karabin i biegł strzelać. Ochotników do trzymania koni było tak mało, że się nam wierzchowce rozbiegły i gnały jak szalone wzdłuż opłotków. Szczęściem plutonowy S. i artysta malarz Kasper Ż. na czas się opamiętali i z narażeniem życia większość koni do wsi doprowadzili. Pękł drugi, trzeci, czwarty szrapnel, armaty widać teraz jak na dłoni, ale za nimi i po bokach kłębi się coraz więcej czarnych postaci. Jeden

z pocisków jakiemuś koniowi łeb urwał, ułanowi kożuszek z ramion zdarł i o ziemię cisnął, ale jego samego nawet nie zranił. Kule gwizdały już ostro.

Czwarty pluton, zwany ze względu na wiek ułanów, plutonem „Wujów“, na boczną drogę wypadł i na dwadzieścia kroków w uciekających Kozaków bić zaczął. Dwóch się zważyło, trzech ręce do góry wzniosło, postawiono straż do ich pilnowania. Rwiemy dalej. Po drugiej stronie drogi, już na naszych tyłach czarne postacie uwijają się wśród opłotków i co chwila do nas z karabinów się odstrzelują. Między nimi a nami chłopcy i baby wiejskie z lamentem ochrony przed kulami szukają. Leżymy tyralierką w rowie, tuż obok na drodze dogorywa w skroń trafiony olbrzymiego wzrostu Kozak w czarnej, długiej opończy, ze srebrnym czerkieskim kindziałem przy pasie — pierwsza, widoczna ofiara tej bitwy.

O komendzie, wydawaniu rozkazów, mowy niema. Każdy bije się dla siebie — tylko to jedno czujem wszyscy, że wpadliśmy w gniazdo ós i że jesteśmy zewsząd otoczeni przez wielekroć silniejszego przeciwnika. Ale fantazyi nie tracimy. Przecież każdy z nas uczył się czytać na opisach bitew z Kozakami, każdy z nas przystawał dzieckiem będąc przed obrazem Kossaka, przedstawiającym szarżę Czerkiesów po warszawskim bruku, każdy z nas od dziecka marzył o tem w krótkich chwilach przedsennych, jakby się zachował, gdyby przyszło mu kiedyś w wiejskich opłotkach bitwę taką stoczyć. Na co więc komenda, po co rozkazy, wszak przeżywamy to na jawie, cośmy po dziesięćkroć już we snach przeżyli. Nabijaj broń — w głowę lub w serce pał — to rozkaz jedyny!

Pierwszą bitwę — jak pierwszą miłość — można przeżyć tylko raz w życiu, a i to nie zawsze się uda.

Bo kule idą gęsto, biją w płot przed nami, rekoszetują zjadliwie po szosie. Jedna trafiła w zamek karabinu mojego sąsiada, odłamkiem w brodę go drasnęła. „Hurra! pierwszy ranny w szwadronie!“, krzyknął mi z humorem, za porzucony rosyjski gwercz schwytał i strzela dalej. Za nami ranny w skroń Kozak już ucichł — widać skonał przed chwilą. Wśród opłotków czarnych postaci przybywa coraz więcej. Dwóch ułanów podpełzło pod chatę na przodzie. Jeden z nich — chłop z Kieleckiego — przykleknął za rogiem, karabin na krzyżaku wsparł, mierzy długo, strzelił, znów nabił i znów wołno do strzału się składa. Widać skutek był dobry, bo teraz biją liczne kule rosyjskie w chałupę.

Z lewej strony wrzask doszedł. Kozacy konni chcą szarżę przypuścić. Rotmistrz zbiera kilku naszych, sam staje na szosie i z pistoletu raz za razem strzela. Zawrócili Czerkiesi.

Lecz z drugiej strony Topór nawołuje, by go wesprzeć. Tam robi się goręcej. Cała sotnia wyjechała sznurkiem na błonie, zwróciła w bok, ławą ku nam jedzie. Tupot galopu, czarne burki rozwiane jak skrzydła, hura! hura! hura! ze stu gardeł naraz, zakrzywione szable błysły w słońcu.

Z pięciu karabinów tylko, ale ogień naszych poszedł gęsty. Strzela tam znany na Litwie myśliwy, kilka koni upadło, kilku Kozaków widać rannych, gdyż inni do nich podjeżdżają, z dwóch stron biorą pod ramiona, zawracają konie i w galopie odjeżdżają w tył. Co za ślicznie wyćwiczony żołnierz!. Reszta czyni obrót wstecz i już są za górą.

Licząc ręką w ładownicach, już tylko dziesięć kul

zostało. Inni również nie mają ich więcej gdyż powtarzają z ust do ust wydany rozkaz odwrotu.

Idziemy rowem wzdłuż szosy, ostrzeliwując się z rzadka, by nie stracić ostatnich nabożów. Idziemy spokojnie, bez pośpiechu. Pytałem się później o wrażenia wielu ułanów. Każdy miał myśl tylko jedną: „Ta dwugodzinna bitwa była ładna, lecz koniec jej, będzie naszym końcem — ale nie to! — będziemy się szablą bronić do ostatka“.

Koło jakiejś szopy stoi jeden z naszych koni karej maści. Drży na całym ciele. Powoli kłęka na przednie nogi, zwałił się już na ziemię, z boku strumyk czerwonej krwi sączy się po piersiach.

Dochodzimy do rozstaju dróg, gdzie miały czekać konie. Jest ich dwadzieścia, a nas coś czterdziestu. Podprowadza ktoś wierzchowca rotmistrzowi, ten odmawia, każe wsiadać właścicielowi — on sam pójdzie dalej piechotą. Ci, co odnaleźli swe konie odjeżdżają kolejno otwartą drogą ku rzece. Raz za razem biją w nich z flanki Kozacy. Zwałił się wówczas por. Włodek z rannym koniem, ale znów wstał, dopadł siodła, i pogalopował dalej. Idący pieszo ułani strzelają ciągle w bok i za siebie by osłonić odwrot.

Na szosie leży jakiś zabity koń, o parę kroków przed nim jeździec, twarzą do ziemi. W pierwszej chwili myślimy, że to trup. Podnosimy mu głowę, — twarz — to jedna krwawa rana. Ale żyje, bo jęknął, bierzemy go pod rękę, ciągniemy do rzeki, wodą twarz zmywamy, oprzytomniał, nawet nie ranny, tylko od upadku z zabitego w galopie konia tak potłuczony. Dał się wsadzić na siodło i zawieść do następnej wsi. Na wózek złożony, zemdlął i odchorował później długo ten wypadek.

Most na rzece z tej strony był zerwany, więc prze-

chodzimy w wodzie powyżej pasa. Za rzeką w wiklinach odszukujemy znaczną część koni, w czasie bitwy tam odprowadzonych. Strzały kozackie znikły. Zbieramy się na polance, skąd jeden jeszcze patrol wraca na chwilę do wsi odszukać resztę wierzchowców. Panuje tam cisza, wieś pusta, lecz nie wiemy, czy Czarkiesi nas nie zechcą koło lasu okrążyć. Por. Topór jedzie na wywiad. Nadśluchujemy czy znów strzały nie hukną, a tu nie ma już czem na kule odpowiadać.

Cisza trwa. Topór wraca z meldunkiem, że droga wolna, a Kozacy wycofali się w przeciwnym kierunku, obawiając się widocznie okrążenia z naszej strony. Zestawiamy się w szwadronie, liczymy straty. Brakuje ośmiu ludzi, przeważnie ordynansów oficerskich, lecz koni więcej. Ranni siadają na zarekwirowane wozy, kilkanaście rannych koni idzie luzem. Posuwamy się z tego powodu bardzo wolno, badając ciągle teren w lesistej okolicy, i oczekując lada chwila zasadzki. Pod samą Starunią przywitały nas już w ciemnościach strzały, lecz okazało się, że to placówki naszej piechoty wzięły nas za patrol kozacki. Z rosnącym coraz bardziej gwarem rozmów dojeżdżamy do Sołotwiny, gdzie równocześnie przyszła wiadomość o zwycięskiej bitwie pod Fitkowem. Nasza dywersja pod Cucyłowem zaważyła zapewne nie mało na jej wyniku.

Ciekawsze jeszcze wiadomości czekały nas dnia następnego. Oto rotmistrz nasz przyjęty został przez Komendę w Nadwórnie jak duch z tamtego świata. Okazało się bowiem, że tych ośmiu brakujących nam ułanów a zostawionych w czasie bitwy na boku z końmi, widząc szwadron otoczony ze wszystkich stron przez chmarę kozactwa, a mając między sobą rannych, uznało za stosowne pogalopować wprost do Nadwórnej

po pomoc i rozgłosić wiadomość o wycięciu w pień całego oddziału. Ponieważ w tym samym czasie Komenda otrzymała meldunek, że w Cucyłowiu stoi 8—10 sotni Kozaków, więc wiadomość ta zasługiwała na wiarę. Wyprawiono nawet odsiecz i wozy sanitarne po rannych lub zabitych, lecz te patrole zastały już wieś pustą i doniosły tylko o znalezieniu czterdziestu przeszło zwłok kozackich.

Szereg awansów i trzy medale waleczności przyznane przez Komendę były epilogiem potrzeby Cucyłowskiej.

W pięć miesięcy później nadarzyła się sposobność z oryginalnego źródła uzupełnić szczegóły z tej bitwy. Oto w zajętej przez nas w końcu stycznia Kirlibabie, znaleziono przy zabitym esaulu (rotmistrzu) kozackim ciekawy notatnik z odbytej kampanii. Między innymi wyliczone były tam straty poniesione w jego sotni „wobec nagłego napadu przeważających sił kawalerii i piechoty nieprzyjacielskiej we wsi Cucyłowiu“.

Na ostatniej stronie kozackiego dyaryusza zapisane było dla pamięci — widać nie tylko nam dobrze znane nazwisko — Dunina-Wąsowicza.

POD KIRLIBABA.

(DWA DNI Z ŻYCIA UŁANÓW W KARPATACH.)

W dolinie górskiej, przeciętej rzeką, stoi odludny tartak. Siedmdziesiąt kilometrów krętej, po przełęczach wspinającej się drogi, dzieli go od kolei i nizin węgierskich. Teraz droga ta, jak cała dolina, jak lasy okoliczne i wierzchołki gór, zasypane białym pyłem śniegów na metr, na dwa, a może i wyżej.

Tartak ten, opuszczony przez mieszkańców, którzy w ucieczce przed najazdem Kozaków schronili się gdzieś na południe, przyjmuje u siebie dziwnych gości. Przed trzema dniami zjechali z gór w tę dolinę ułani polscy, a wkrótce za nimi nadciągnęła piechota i artylerya Legionów. Wezwani na wspomóżenie pewnej dywizyi węgierskiej pospolitego ruszenia, znaleźli się nasi Legioniści na „nowym terenie operacyjnym“.

Noc ma się ku końcowi. Utrzymywane pracowicie przez szereg godzin ogniska, zapadnięte w śniegu, zwolna dogasają. Konie, okryte przemarzłemi na drewno derkami, grzebią niecierpliwie w śniegu, czekając na rozdawanie obroków. Głodne są. Od trzech dni nie widziały już siana, a owsa miały niewiele. Ludzie śpią przy ogniskach pod skleconymi z desek dachami, otuleni w płaszcze, z głowami na siodłach.

Pod jednym z tych dachów zaczyna się ruch: to wachmistrze szwadronowi i szarże zbierają się, by budzić żołnierzy, wszak świt już niezadługo. Obudzenie zmęczonych ludzi nie jest rzeczą łatwą, po dwa i trzy

razy trzeba ogniska obchodzić i powtarzać rozkaz siodłania. Wiadomo, że na wojnie silniejszym ponad głód, ponad mróz i ponad huk dział, jest sen. Widziałem żołnierzy, którzy po dwóch dniach głodowania potrafili zasnąć nad pierwszą niedojedzoną menażką.

Konie dostały już obrok z zapasowych woreczków, prychają weselej, a ułani odpowiadają im na dzień dobry: „zdrów — zdrów!“ A jednak nie wszystkie są zdrowe. Już trzecią noc spędzają na mrozie, więc nie dziw, że niejeden zaczyna długo, męcząco kaszleć. I kilku chorych żołnierzy zgłasza się do naszego lekarza. Odmrożenie nóg — klucie w piersiach. Ci dzisiaj zostaną; odeszłe się ich na chorych koniach do etapów, odległych o 60 kilometrów.

Następuje przegląd ustawionego już szwadronu. Plutonowi zdają raporty poranne. Z boku zajeżdża kuchnia polowa z gorącą czarną kawą. Rozgrzeje ona i pobudzi nerwy. Potem przeciągnęła komenda rotmistrza Dunina-Wąsowicza: „Do wsiaaadu! — Naa koń, dwójkami od prawego, stępa maaarsz!“ — Szwadron trzeci Dunina-Brzezińskiego rusza za nami.

W połowie drogi przyłącza się do nas artylerya Legionów. Armatki górskie złożone na małych konikach, za niemi wozy z amunicją. Wśród artylerzystów gwar. Bateria ta przyjechała dopiero co z kadry, chłopaki cieszą się, że dostaną dzisiaj pierwszy chrzest ogniowy. Przy budzącym się dniu mijamy pozycyę artyleryi austriackiej. Te wielkie, ciężkie haubice nie potrzebują iść na sam front, strzały ich i tak przez górę przeniosą.

Zapuszczamy się w dziki górski wąwóz. W lasach na kilkaset kroków przed i ponad nami leży linia tyralierska naszej piechoty. W drodze mijamy znowu kuchnie polowe, które przed świtem dowoziły na pozycyę śnia-

danie. W jednym miejscu wąż odstania się stokiem na lewo. Wczoraj, gdyśmy tędy w południe mieli przejeżdżać, szwadrony ruszyły galopem, bo do miejsc tych donoszą kule karabinów rosyjskich; i rzeczywiście gwizdały nam wówczas nad głowami. Teraz, o zmierzchu porannym, można bezpiecznie jechać i stępą.

Przed wylotem wężu oddziały zatrzymują się. Artylerya składa swoje armatki, my schodzimy z koni. Zadaniem dzisiejszem szwadronów jest osłona artylerji, a w razie czego możemy służyć za rezerwę dla podtrzymania ognia w linii tyralierskiej piechoty. Mgła ranna opada coraz niżej. W parę minut po 7-jej zrywa się szum z tyłu za nami, a w lot za nim biegnie huk wystrzału austriackich haubic. To pierwszy dzisiaj szrapnel — pobudka do bitwy.

Nieprzyjaciel nie czeka z odpowiedzią. Z cichego lasu naprzeciw dochodzi grzechot karabinów, trwa parę minut i milknie. Od trzech już dni te dwie armie witają się takim dzień dobry. Lecz przerwa w strzałach trwa krótko. Do sztabu nadchodzi zapewne ostatnie meldunki z ubiegłej nocy, wywiadowca gdzieś ze szczytu góry dojrzał już zmienioną w nocy pozycję artylerji rosyjskiej, dał znać linią telefoniczną do własnych pozycyj i bitwa się rozpoczyna. Już teraz w miarodajnych odstępach lecieć będą nad nami szrapnele, czasem zabeczy dziwacznym głosem granat, zaterkocze, jak bocian, gdzieś w górach karabin maszynowy swoim przeciągłym ta-ta-ta-ta-ta.... zagwizdzą nad nami ostre kule rosyjskie, będą obcinać nam nad głowami gałązki świerków i kopać dołki w śniegu na przeciwległej ścianie wężu. Tak było już wczoraj i przedwczoraj, tak będzie i dzisiaj. Od czasu do czasu zesuwa się z lasu stromą ścieżką do wężu jakiś żołnierz. To lżej ranni

z linii tyralierskiej; ciężej rannych znoszą i odprowadzają do lazaretu towarzysze.

Godziny płyną tak wolno, że zdaje się, że chyba słońce, jak na rozkaz Jozuego, tego dnia stanęło. Artylerzyści nasi zaczynają się denerwować. Stoją przy armatkach od świtu, a rozkaz strzelania nie nadchodzi.

Około południa robi się goręcej. Artylerya rosyjska zaczyna odpowiadać. W strzałach znać oszczędność amunicji. Działa ich milczą tak długo, aż wywiadowcy nie podadzą pewnych, jasno określonych, celów. Coraz częściej zaczynają szumieć nad wężem szrapnele rosyjskie. Z początku przenoszą na przeciwległy las. Zabrzęczał szrapnel, chwilę w powietrzu jakby zawisnął — pękł — i posypały się kuleczki z pod szarego obłoku. Trzask drzew — i parę świerków rozsunało się na dwie strony. Następny pęką trochę bliżej nas, słychać już świst pojedynczych kulek; trzeci trochę na prawo, już niedaleko naszej tyralierki, a potem dalsze w tym samym porządku.

W tej chwili nadbiega galopem jeździec meldunkowy ze sztabu. Rozkaz do komendanta naszej artylerji. W mig wpręgly się chłopaki do swoich „piesków“ i podciągnęły je do wylotu wężu. Grzechot karabinów wzmagą się, Rosyanie manewr ten spostrzegli, ale chłopaki nasze nie zwracają uwagi na lecące osy, zatoczyli armatki i dalej walić do widnej zdala tyralierki rosyjskiej. Przepędzili ich zacie i dumni, uradowani z powodzenia wracają na dawne pozycje, witani owacyami ułanów. Za atak ten, prowadzony pod tak silnym ogniem, komendant baterji, znany w Krakowie, Kasper Wojnar, został zamianowany porucznikiem Legionów.

W naszych szeregach budzą się okrzyki: „Kiedyż

to i nam pozwolą iść naprzód?“ Trzeci szwadron miał choć poprzedniego dnia tę przyjemność, że wysłany był w tyralierę, którą rotmistrz, Dunin-Brzeziński, z brawurą poprowadził naprzód. Tego dnia jednak trzeba było bezskutecznie oczekiwać na podobny rozkaz. A lepiej już strzelać i bić się choćby na bagnety, niż stać tak godzinami całymi na mrozie i wietrze bezczynnie pod kulami i patrzeć, jak nasze konie dygocą z zimna.

Przed samym wieczorem pojedynki artylerii wzrosły jeszcze bardziej w siłę. Co parę minut leciały nad nami i krzyżowały się w drodze szrapnele nasze i rosyjskie. Echo gór nie nadążyło odpowiadać strzałom. Zapadający zmrok zciszył wreszcie bitwę. Upřednio dostaliśmy rozkaz wracania na noc do tartaku. Siadamy na koni i żołnierze zziębnięci zaczynają już nucić z cicha piosenki, ciesząc się na rozpalenie ognisk.

Nie ujechaliśmy jeszcze stu kroków, a tu przychodzi nowy rozkaz komendy: szwadrony odeszły konie, a ułani zostaną na noc w wężozie dla wsparcia piechoty w razie nocnej wycieczki. Po ogłoszeniu rozkazu piosenki umilkły. Ułan z koniem rozstawać się nie lubi; drugi żołnierz, choć kolega, ale nigdy tak dobrze konia nie napoi i nie nakarmi jak on sam. Ale nie czas na rozumowania. Już brzmi komenda rotmistrza: „Formuj czwórki! Jedynki, dwójki, czwórki z konia — trójki z luzakami naprzód, stępo, marsz!“ i konie odeszły.

Dla zabicia czasu ułani biorą się do stawiania szalaszów z jedliny — w ich wnętrzu można będzie choć ogniska rozpalić. Toporków nie ma, ale są ostre szable. Robota idzie żwawo i wkrótce pod skałami stanęły szalasy, dla każdego plutonu osobno. Nadjechały i kuchnie, rozdano konserwy i każdy, jak umie, smaży so-

bie, gotuje, rąbie drzewo na opał, byle tylko czas zabić, byle tylko ta zimna noc prędzej przeszła. Na dobitek złego nie mieliśmy tej satysfakcji, żeby wycieczka Moskali zastała nas w pogotowiu. Po ich stronie cisza jak makiem zasiał. O świcie wróciliśmy do koni, by je nakarmić, przesiodłać i znów czekać na dalsze rozkazy.

Mróz zelżał, tylko śnieg gęsty zasypywał nam siodła. Armaty rano milczały. Takie milczenie po trzech dniach huku więcej nuży od huku samego. Minęło po ludnie w tem cichem oczekiwaniu. Aż tu gdzieś koło drugiej godziny przygalopował oficer ordynansowy ze sztabu i przynosi rozkaz wysłania patrolu poza wężoz pod wczorajsze pozycje Rosyan. Pięciu jeźdźców siada na koni i odjeżdża kłusem. W pół godziny po nich dwa szwadrony otrzymują rozkaz wymarszu tą samą drogą.

Ujechaliśmy kilka kilometrów zapadniętym wśród skał wężozem, aż tu na zakręcie spostrzegamy dziwny orszak. Na przedzie jedzie komendant naszego patrolu, a za nim dwójkami maszeruje 46 piechurów rosyjskich. To wzięci do niewoli — Kirlibaba wolna — Moskale się cofnęli. Ruszamy naprzód z kopyta. Może jeszcze przed zmrokiem uda się nam ich dognać.

Nadzieja ta niestety nas zawiodła, bo choć patrole nasze rozjechały się na kilkanaście kilometrów wokoło, mogły tylko stwierdzić kierunek odwrotu, wziąć kilkunastu żołnierzy do niewoli, ale na większe siły nie można było już natrafić. Jak później dowiedzieliśmy się, Moskale w obawie przed groźącym im od Ludwikówki oskrzydleniem woleli miasteczko jeszcze w nocy opróżnić.

Po stwierdzeniu tego stanu rzeczy wzięliśmy się do

przeszukiwania domów. A warto było to czynić. Odwrót musiał być gwałtowny, gdyż zostawiono setki karabinów, cały magazyn amunicji, ciepłych butów, czapek, mundurów i t. d. Po domach znalazło się również wielu naszych rannych żołnierzy z poprzednich bitew, których Moskale uchodząc w pośpiechu zostawili. Trzeba było widzieć radość nielicznych mieszkańców, którzy przetrwali kilkudniowy pobyt nieprzyjaciela, z jaką witali nasz przyjazd. Opowiadaniom o dzikości Kozaków nie było końca. Zresztą i ślady spustoszeń były aż nadto widoczne, szczególnie w sklepach żydowskich handlarzy. W jednym z nich mąka oblana naftą i atramentem, obrzucona pociętymi sztukami wcale ładnych materyi, rozsypana wśród gruzów połamanych wag i pobitych naczyń, świadczyła dobitnie o tem, że nawet nie rabunek, tylko prawdziwie rosyjska chęć niszczenia rzeczy cennych, jakiś obłądny nihilizm rozpanoszył się tu na dobre.

Domy stojące wyżej pocięte były kulami, poszarpane granatami. Na polach pod lasem czerniły się na śniegu dziwne plamy. Stada kłótliwego ptactwa unoszące się nad nimi tłómaczyły ich pochodzenie: to zwłoki poległych w ataku na Ludwikówkę, naszych i Moskali.

Rozstawiono na noc posterunki, które stały aż do zluzowania przez nadszycą piechotę. Wtedy dopiero mogliśmy po sześciu dniach i nocach spędzonych na śniegu rozgrzać się w ciepłych, wygodnych kwaterek, a koniom naszym zadać do żłobów wiązki górskiego, pachnącego siana.

Styczeń 1915.

NOCNA WYCIECZKA POD BOJANEM.

Kwiecień, 1915

Szwadron nasz zajął kwatery tuż za linią drutów kolczastych w miejscowości Mahali. Na drugi dzień szrapnele rosyjskie, przelatujące nad stajniami, przypominały nam po trzech tygodniowym odpoczynku, że znów jesteśmy na linii. Przez ten czas niespostrzeżenie zrobiła się na świecie wiosna. Gdyśmy jechali z frontu do Kołomyi konie szły po kolana w śniegu, ludzie marzli na wietrze, a nocami w stajniach trudno było zasnąć z zimna. Teraz ziemia poczerniała już, wody rozlały się po łąkach, błoto utrudniało marsze, a nad szwadronem unosiły się het w górze powracające z daleka bociany. Wieczorami szły klucze dzikich gęsi, a łoży nadrzeczne stroiły się w białe kosmate bazy.

Konie nasze odczuwały wiosnę może jeszcze więcej od ludzi. Włos im wyleniał, wesołe były i rozhuwane tak, że czwórki trudno było w marszach utrzymać. Na postojach skubały zieloną trawę, a puszczone na pastwisko samopas, gnały jak szalone i tylko rzenie pozostałych przywoływało je do stajni z powrotem.

Dnie były dłuższe i jaśniejsze. Noce za to na nowiu okrywały wszystko tak ciemną tkaniną, że na dwa kroki nie rozoznać się nie dało.

W taką to jedną dżdżystą, a okrutnie ciemną noc przyszło nam zrobić pierwszą wycieczkę. Poprzedniego dnia wyjechały przed linię drutów patrole konne, obejrzały teren, podjechały aż pod same rosyjskie placówki, wróciły ostrzelane, ale z wiadomościami o rozkładzie rowów strzeleckich i wedet nieprzyjaciela.

Wymarsz naznaczony był na godzinę dwunastą. Szable i ostrogi zostawiono na kwaterach, a za to zabrano większą ilość amunicji. Już przy zbiórce szwadronu trudności podobnej ekskursji stały się aż nadto widoczne. Pluton nie mógł trafić do plutonu. Gromady 80 żołnierzy o trzy kroki rozeznac się nie dało. Nie zważając na to, rozdzieliliśmy się na dwie grupy i rozeszli na dwie drogi, którymi mieliśmy iść na Bojan, obsadzony wówczas przez Moskali.

Póki szliśmy drogą, wszystko było dobrze, ale z chwilą, gdyśmy wyszli na otwarte pole, orientacja wszelka stała się wprost niemożliwą. O rozsypaniu ludzi w tyraliery mowy być nie mogło, bo z powodu ciemności flankowe patrole rozchodziły się wciąż w obie strony. Wkrótce zaczęło się błądzenie po polach i łąkach. Po trzy razy wracaliśmy na to samo miejsce sądząc, że wciąż posuwamy się naprzód. W pewnym miejscu kilku ludzi zapadło w bagno i ledwo ich można było stamtąd wyciągnąć, inni powpadali w rowy strzeleckie, pokopane po polach w bitwach zimowych, aż wreszcie straciliśmy zupełnie kierunek marszu.

W tych warunkach czekać trzeba było świtu. Skoro trochę się rozwidniło ruszyliśmy naprzód. Wystrzeliliśmy kilka salw na placówki rosyjskie i trzeba było nawracać, gdyż posuwanie się garstki ludzi za widna na umocnione pozycje nie miało żadnego celu. I tak już zadanie nasze polegało tylko na niepokojeniu ciąglem nieprzyjaciela i na markowaniu ataków, o których dokonaniu wobec słabych sił mowy być nie mogło.

Ludzie powrócili ze świtem, zmarznięci, zabłoceni i zrażeni tem, że wycieczka tak nam źle poszła. Następnej nocy zaalarmował nas atak rosyjski, prędko od-

party ogniem tyralierki, aż wreszcie na trzecią noc doczekałiśmy się bardziej sprzyjających warunków.

Wycieczkę tę mieliśmy wykonać wspólnie z kompanią piechoty austriackiej, z baterią karabinów maszynowych. I ta bezksiężycowa noc była mocno ciemna, ale przecież zorientowanie się w lepiej już nam znanym terenie nie było znów tak trudnem, a przytem ludzie nabrali już z poprzedniej wycieczki trochę doświadczenia w posuwaniu się po omacku.

W milczeniu zebrał się szwadron, po godzinie 11-tej, szarże opatrzyły i skontrolowały jeszcze raz zasób amunicji i pogasiwszy ostatnie papierosy, ruszyliśmy plutonami naprzód do jedyne go przejścia między drutami naszych pozycji. Przejście to leżało niedaleko szosy ciągnącej się na wschód. Tam mieliśmy zaczekać na przemarsz piechoty, mającej atakować od prawego skrzydła i punktualnie o 1 ruszyć od frontu do ataku. Umówiono znaki porozumiewawcze. Pierwsza rakietą świetlna miała dać znać, że karabiny maszynowe wycofują się z linii. Na ten sygnał tyralierka nasza miała ogień wzmocnić i tak długo go utrzymywać, aż nie ukaże się druga rakietka. Po tym sygnale mieliśmy się powoli wycofać do okopów.

Żołnierze rozłożyli się wzdłuż rowów szosy i czekali na rozkaz odmarszu.

Dziwne myśli przechodzą przez głowę w czasie takiej cichej godziny wyczekiwania na bitwę. Przeżyć można w niej dużo — czasem ostatnią noc w życiu.

Z początku tętno bije jeszcze silnie, napięte wrażeniami, myśli się realnie i trzeźwo „mam 120 naboji, muszę je oszczędzać... lewą ładownicę przesunę więcej na prawo, by sięgać potem było łatwiej... pluton rozdzielić w ten a ten sposób.... odstępy w tyralierze można dziś

będzie zwiększyć, by wydłużyć linie ognia i zamarkować większe siły... skrzydła poprowadzą starsi“...

A potem ciąg myśli się urywa. Spokój nocy robi swoje. Żołnierz zaczyna się wczuwać w ciszę, panującą w dolinie. Za chwilę pójdą tu strzały, gwizd kul, głosy komendy — ale teraz to cicha, wiejska noc kwietniowa. Chmury rozsnuły się i przejrzały gwiazdy. Ta sama stara Niedźwiedzica patrzy w dół, ten sam Skorpion, tak lubiany przez Greków. — A tak im to obojętne, na co patrzą. Cóż ich obchodzi ta „światowa wojna“, kiedy ten świat, to jedna mała planeta, na której wybuchło nieporozumienie i ktoś z kimś wojnę toczy. Co nas to obchodzi — nas — Wagi, lub Ciebie lśniąca Ledo. Patrzyliśmy już nieraz na takie boje tu z góry — i nie zmieniło się w naszym życiu nic. Wysyłałyśmy meteory w wszechświat i nadal wysyłać będziemy. Nam grożą gorsze rzeczy. Może jakiś intruz-kometa przetnie nam drogę i odchyli nasze kręgi, lub gwiazda z gwiazdą się spotka i obie spalą się na snop iskier w ataku. To wojna nasza, a nie to małe wasze zmaganie mikrokosmu...

Lecz duch w człeku się burzy na tę mowę gwiazd. Co mi z tego przyjdzie, że wy tam gasnąć i zapalać się będziecie, gdy ja na to już patrzeć nie będę. Szept doktora przerwał ciszę: „Miejsce opatrunkowe na szosie bliżej bramy; tam donosić rannych“ I znów żołnierz sobie przypomniał, że idzie do bitwy. Z drugiej strony dochodzą słowa urywanej rozmowy: „Józek, pamiętaj adres mej matki, Wiedeń, Aleegasse“... A inny z nim żartuje: „Oho! masz zamiar widać dzisiaj wrócić z kulą w brzuchu“.

Żart żartem, — a może on tak wróci, lub nie wróci wcale.

Chłodno jest, przymrozek bierze; przyjdzie tyralierzy rozsypać gdzie na bagnie, to nam kości zmarzną...

I znów szept z drugiej strony rowu od trzeciego plutonu: „Kuszel, masz dla mnie papierosa, schowaj go, zapalę jak będziemy wracać, bo dyabło się kurzy zachciewa“. Kuszel — prawda, to nazwisko znane i poza plutonem... Kuszel i Ruszczyce podchodzili nocami z chorągwią lekkiej jazdy Kozaków na Ukrainie. — Ogniem i mieczem... lat temu trzysta... tak jak my dziś... trochę inaczej... Manlichera nie znali... a lat temu sześćset. „Huk od uderzenia młotów o stalowe pancerze słychać było przy starciu rycerzy o mile“, pisał Długosz; dzisiaj granaty jeno warczą tak głośno, a słychać je dalej... Cicho — sen morzy — niejeden ułan zasnął już na skarpie rowu.

Zbliża się do nas jakiś cień. To rotmistrz... „Czas iść, już godzina dochodzi. Pierwszy, trzeci pluton na prawo wzdłuż toru, drugi, czwarty gęsiego w rowach przy szosie. Kapral Kossowski na szpicie“. Cicho, cichuteńko, sznurują się plutony w szeregi; ci na prawo już poszli. Komendy dalszej nie usłyszymy — aż w ogniu.

Idziemy wolno; co chwila boczne patrole przysyłają meldunki; szpica daje znak ręką. I pluton jak podeity kosą zapada w rów. Znów znak, pluton wstaje i sunie dalej. Mijamy opuszczony okop. Może tu stała placówka i niespostrzeżona przez nas wymknęła się z wieścią o naszym pochodzie. Posuwamy się coraz wolniej; bagno dzielące nas od toru uniemożliwia utrzymanie kontaktu z prawem skrzydłem. Nie wiemy, gdzie są oni i oni nas nie widzą.

Nagle zbudzony zajęc wyrwał się z pod nóg i pom-

knął polem. — Leć spokojnie, to polowanie na inną zwierzynę. Idziemy znów.

Strzał... a potem kłus na prawo i na lewo w tyralierę. Już linia leży. Znów strzał i teraz rozpoczyna się grzechot karabinów. Ognik węzowy przeleciał po linii — jakby kto garściami sypnął zarzewie. A naprzeciw nas taki sam wąż ognia. Kule pewno gwizdzą, ale trzask zamków je zagłusza. Aha, idą — bo rola przed głową sąsiada zakurzyła się — jest i druga, zawarczała po szosie, trzecia zabręczała jak zbudzony bąk błotny.

W tym samym czasie pierwszy i trzeci pluton przeżywał znacznie silniejsze wrażenia. Posunąwszy się jeszcze na 500 kroków dalej od naszej linii natknęli się nie na placówki, lecz wręcz na tyralierę rosyjską. I oni rozsypali się wzdłuż toru, ale nie opatrzyli się, że na przedłużeniu ich linii idą o jakie 500 kroków okopy nieprzyjacielskie. W mig obrzuciły ich strzały naraz z dwóch stron; odpowiedzieli na nie salwami danemi na 15 kroków do widocznych w cieniu sylwetek rosyjskiej piechoty. Zanim one przebrzmiały, zaterkotał z boku karabin maszynowy. Nasi myśleli, że to landszturm austriacki wchodzi w grę, lecz huk kul o szyny toru, przy którym leżeli, dowodził, że i ten ogień idzie na nich. Był to ciężki moment. Formalny deszcz kul obrzucał ludzi naokół. Padały z przodu, z boków, z tyłu, gwizdały, syczały, brzęczały nad uszami, rwały ziemię, strącały kamyczki z toru, pluskały w wodzie kałuży.

Por. Zieliński wstrzymał ogień, póki i salwy rosyjskie nie ustały. Potem sypnął znów odpowiedzią, znów przycichł pod deszczem kul, a skoro i one warczeć przestały, cofnął ludzi o 100 kroków i znów się odstrzeli-

wał. W pewnym momencie Moskale chcieli obejść te plutony, lecz natrafili na boczny ogień II i IV plutonu i cofnęli się do wsi.

W tej chwili z tyłu wzniosła się zielona raca, znak, że landszturm rozpoczyna powrót w okopy. Podwojono ogień, który poszedł tak ostro, że Rosyanie sądząc, że jest to znak do ataku, zaprzestali ognia i cofnęli się na całej linii. Nawet karabinek maszynowy przestał młócić z wikliny. Gdy druga raca buchnęła, ogień wstrzymano i ułani sznurkiem wracali wzdłuż szosy, zabłoceni, zmęczeni, ale wesoło i w miarę zbliżania się do pozycji coraz gwarniej. Spełnili zadanie bo małymi siłami przeprowadzili taki atak, że zmylili nieprzyjaciela, a przez to zmusili go do trzymania na tej linii większych sił, które mogły znacznie więcej zaważyć gdzieś w centrum frontu karpackiego. Mijając bramę policzyliśmy ludzi. Brakło dwóch, ale ci wkrótce nadeszli, odnalazłszy zgubioną chwilowo drogę do szosy. Jeden ułan miał lekko zranioną rękę, drugi znany nam jako bardzo odważny i ostrzelany już kilkadziesiąt razy w tej wojnie, dostał szoku nerwowego pod wpływem krzyżowego ognia i musiał być wprost zaniesiony na kwaterę. Wstydział się sam potem tego, ale nikt mu za złe nie brał, bo nie każde nerwy mogły podobny deszcz kul wytrzymać. W drodze powrotnej dowiedzieliśmy się, że landszturm, stojący z boku i nie biorący udziału w bitwie, w obawie przed postrzelaniem naszych oddziałów, miał aż trzech ciężko rannych od zabłąkanych kul. I nasz doktor, który pozostał w tyle, również dłuższy czas narażony był na strzały.

Świt robi się już jasny na dworze, gdyśmy powrócili na kwatery, taki świt, co to cieszy dniem jasnym, cieszy światem — no i cieszy życiem.

Z P O D J A Z D E M.

(NA PODSTAWIE NOTATEK PLUT. ŁUKASIEWICZA, ZA KTÓRE MU NA TEM MIEJSCU SERDECZNIE DZIĘKUJĘ).

W czasie krótkiego postoju Brygady na linii Prutu przypało naszej kawalerii trudne, ale zaszczytne zadanie zbadania sił i rozkładu wojsk nieprzyjacielskich za rzeką dla mającej wkrótce nastąpić ofensywy. Co parę dni wyprawiały się więc patrole 2-go i 3-go szwadronu i po całodziennej jeździe wracały z coraz dokładniejszymi meldunkami. Najbarwniejszy z tych wypraw był podjazd 20-tu ułanów 3-go szwadronu Rotm. Dunina Brzezińskiego, odbyty pod komendą por. Leg. Kordeckiego.

Dnia 16 maja zbudzono przed świtem wyznaczonych na patrol żołnierzy, konie w mig posiadłano i ruszono w drogę szosą ze Strzeleckiego Kąta do Czerniowiec. Pośpiech w przebyciu tego odcinka był już z tego względu nakazany, że gęste placówki rosyjskie rozstawione za Prutem ostrzeliwały jadących za dnia po drugim brzegu rzeki.

Panujący jeszcze zmrok był najlepszą osłoną od kul. Szosa wije się w tem miejscu po stromym upłazie lasem porośłych gór, w dole płynie ujęty w szerokie ramy wiklin Prut, za nim pastwiska, przedzielone ciemnymi masami rozrośłych wsi Żuczki, Lenkowiec, Nowych i Starych Maniowców, dalej biała wstęga szosy, cplotki toru kolejowego, idącego skrajem doliny, je-

szeze dalej faliste pagórki z wsiami Szubrańcem, Witelówką i Zadobrówką.

Teren to nie od dziś znany w naszej historii. Przeglądając zarys wojen tureckich łatwo odszukać wszystkie te miejscowości w zapiskach wypraw Żółkiewskiego, Jabłonowskiego i Sobieskiego pod niezbyt odległy stąd Chocim. Tak więc po dwustu pięćdziesięciu latach wypadło legionowym ułanom jeździć po śladach Ruszczyńców podjazdów.

Wiele zmieniło się od tych czasów, ale krajobraz zmienił się niewiele. Już wówczas skarżyło się rycerstwo na brak brodów na Prucie. Brak ten i nam dawał się we znaki. Zamiast jechać na przełaj przez rzekę, trzeba było ją okrążyć aż do czerniowieckiego mostu, a potem sunąć dalej z tem uczuciem, że odcięcie odwrotu może nastąpić lada chwila.

Patrol Kordeckiego przejechał o wschodzie słońca wspomniany tu most, minął ostatnie zasieki druciane Żuczki i ubezpieczywszy się na przodzie i skrzydłach odpowiednio, pokłusował w stronę domniemanych pozycji rosyjskich.

Natrafiono na nie wcześniej, niż można się było spodziewać. Na dwieście kroków przed chałupami Lenkowiec stoi samotny budynek szkoły. Ledwo przednia straż minęła to miejsce, już karabinowe padły salwy. Raz w raz — jedna po drugiej. Moment to na patrolu zawsze najprzykrzejszy. Każdy ułan wie z góry, że jeździe na strzały, każdy z nich jadąc myśli sobie o tem, że tam gdzieś na przedzie za jakimś drzewem, kamieniem, czy w polnym rowie leżą Moskale i z karabinami gotowymi do strzału, wodząc muszką luf po jeźdźcach, wybierają cel i czekają tylko komendy — „Pal“ — każdy z nich o tem wie. A jednak salwy takie padają

zawsze niespodziewanie. W takim momencie nie wystarcza przyrodzone męstwo, ani zimna krew, bo najodważniejszy żołnierz może stracić głowę — jeśli nie ma wprawy. Dlatego też na patrole zabiera się nowicyuszów niechętnie, choć się sami nieraz o to proszą. Lepiej mieć mniej ludzi, ale już ostrzelanych, niż całą gromadę ułanów, którzy dotąd prochu nie wachali. Ułani trzeciego szwadronu nowicyuszami nie byli, każdy z nich miał trzy kwartały wojny za sobą. To też gdy pod salwami padła komenda wachm. Konarskiego, który prowadził straż przednią „Z koni! Do walki pieszej! Konie za szkołę!” manewr ten wykonano zgrabnie i za chwilę gęsty już ogień poszedł w stronę opłotków wsi, skąd padały salwy. Wysyłany w takich razach meldunek określa podobną sytuację jako „wejście w kontakt z nieprzyjacielem“.

Pod wpływem ognia kawalerzystów, salwy były coraz rzadziej, aż ustały zupełnie. Czasem tylko gwizdnęła jeszcze samopas puszczona kula. Komendant rozpatrzył się przez lunetę w terenie i wysłał plutonowego Koya dla zbadania pól i opłotków Lenkowiec. Reszta oddziału dosiadła też koni, rozsypała się galopem w szeroką tyralierę po błoni, ubezpieczyła się na skrzydłach i ruszyła w stronę wsi. Ten ryzykowny manewr odniósł nieoczekiwany skutek. Nie spodziewali się widać Moskale takiej ofensywy, skoro we wsi ruch się wszczął gwałtowny. Z opłotków wycofywała się na gwałt piechota, bezładnie tłoczyła się w ciasnych uliczkach i biegła obsadzić tor kolejowy z prawej strony. Z bocznych drożyn, jak spłoszone zające, wyskakowali konni dragoni i gnali w stronę błonia. Z ilości ich ocenić można było obsadę wsi na jedną do dwóch kompanii piechoty i szwadron dragonów.

Na cofającą się piechotę najechały boczne patrole i zepchnęły ją jeszcze dalej za tor. Dragoni za to ochłonnawszy z chwilowej paniki i widząc drobną tylko garstkę naprzeciw siebie, zebrali się i ruszyli do szarży na naszych ułanów.

Sytuacja robiła się krytyczna. Z boku dochodzić już zaczęły strzały piechoty, na wprost pędziła kawaleria. Por. Kordecki postanowił w mig znów śmiałym ruchem wyrwać się z tych opalów. Huknął więc gromko: „Chłopy! Pałasze! Do ręki broń! Galooop!“ i ruszył na spotkanie dragonów. W tej chwili jeden z ułanów, Stefan Jaworski trafiony kulą zsunął się bez słowa z konia. Sanitariusz Mryc i dwóch ułanów zostało przy nim, reszta z krzykiem jechała dalej. Dragonów po raz wtóry opuścił animusz. Przypuszczając, że patrol ten jest przednią strażą większego oddziału, skoro sobie na taki atak pozwala, zawrócili konie i cofali się pospiesznie w stronę widnych już z dala okopów...

Komendant pogoń wstrzymał, ludzi spieszył i za uciekającymi kilka salw posłać nakazał. Skutek był dobry, gdyż kilku jeźdźców osunęło się z koni. W tej chwili artyleria nasza szrapnelami pokropiła Moskali z za Prutu zwiększając jeszcze panikę. Pod ich wrażeniem rosyjska piechota próbująca oddział oskrzydlić, wróciła się również do okopów. Ułani stali się panami sytuacji. Zadanie spełnili, gdyż określili stanowisko szanieców rosyjskich na wzgórzach przed Szubrańcem, a więc w znacznej odległości od rzeki i przekonali się dalej o tem, że sam brzeg Prutu chronią tylko placówki i drobniejsze lotne oddziały.

Cenny ten dla późniejszej ofensywy meldunek przyszło im okupić stratą dzielnego towarzysza broni. Ja-

worski już nie żył. Zabrali więc jego zwłoki i przewieszone na kulbace dowieźli do Czerniowiec.

Droga powrotna spokojną nie była. Gdy po napojeniu koni w zajętej wsi wyjechali na szosę, artylerya rosyjska zasypała ich szrapnelami, a przed samym jeszcze mostem karabin maszynowy zaterkotał przez chwilę i zabił im jednego konia. W dwa dni później pochowano w Biłej utraconego w tej potyczce kolegę. W serdecznych słowach żegnał w imieniu szwadronu rotmistrz Brzeziński swego żołnierza. Wśród przyznanych przez Komendę Korpusu odznaczeń dla uczestników patrolu — wielki srebrny medal waleczności przypadł w udziale poległemu.

Taką jest historia świeżo powstałej mogiły polskiego ułana na starym Ruszczycowym szlaku.

Maj 1915.

W SZPITALU POLOWYM.

Szkołę wsi, położonej o 6 km. za frontem, zamieniono dnia tego na szpital polowy. Szeregiem pod ścianami stanęły nosze-łóżka, a na nich złożono lżej i ciężiej rannych — naszych i Moskali, żołnierzy i oficerów, bez względu na pochodzenie, gatunek broni i szarżę. To różnorodne wojsko stanowiło przy tym pośpiechu jeden zwarty oddział ludzi cierpiących.

Na korytarzach, po salach operacyjnych ruch wielki. To doktorzy i sanitaryusze przy pracy. Między szarymi mundurami przewinie się czasem biała sukienka samarytanki o spokojnym wyrazie oczów, które od tyłu już miesiąc patrzą na ból i na cierpienie. To też niczemu one się już nie dziwią, a choć radeby z serca każdemu ulżyć, oceniają jednym spojrzeniem wyrok dla rannego, temu życie — tamtemu śmierć jest pisana.

Południe słoneczne dochodziło już, gdy przed szpitalem zajechał szwadron ułanów polskich. Przydzieleni dnia tego do rezerwy, zatrzymali się we wsi dla nakarmienia koni. Rozkieszmano munsztuki, popuszczono popręgi, a kilku oficerów weszło do szkoły dla odwiedzenia rannych towarzyszy broni.

Na wstępie przywitał ich doktor i wnet podjął się służyć za przewodnika po szpitalnych salach.

— Przysłano nam dzisiaj rosyjskiego oficera, ale Polaka. Chodźcie panowie z nim porozmawiać. Chętnie was pozna, dopytuje się ciągle o Legionistów.

Leżał w rogu drugiej z rzędu sali. Miał strzaskaną

szrapnelem lewą rękę — a w oczach wyraz człowieka, który odchodzi na zawsze.

Takie, głęboko osadzone — smutne — polskie oczy.

Z natury musiał być żywy, gdyż i teraz na widok wehodzących oficerów poweselał i chciał dźwignąć się z posłania. Siły mu jednak niedopisały, więc tylko uśmiechem dał znać, że rad widzi gości.

Krótkie przedstawienie się, uścisk dłoni, potem do któr ich pożegnał, gdyż na rozmowę czasu nie miał. Wszak musiał wracać do dalszych opatrunków.

Z początku rozmowa szła opornie, jak zwykle między ludźmi, których wczoraj nie łączyło nic — a dzieło bardzo wiele.

— Długo pan już wojuje? — zapytał jeden z ułanów. —

— Od sierpnia, ale z przerwami. Brałem udział w bitwach na Mazurach. Potłuczony przez walącego się podemną konia, wróciłem do Warszawy i tam leczyłem się przez jesień. W zimie pułk mój stał prawie bezczynnie nad granicą pruską. Miesiąc temu odkomenderowano nas do Besarabii i wczoraj przejechaliśmy przez to nieszczęśliwe Mamajesti...

— A ten krzyż skąd? — zapytał ułan, wskazując na siwy, wiszący nad łóżkiem mundur dragońskiego pułku.

— To? — to jeszcze z zeszłego lata za kilka śmiałych i szczęśliwych patroli. Mówię szczęśliwych dlatego, bo na wojnie wogóle szczęścia nie miałem. Przez tę głupią kulę która ubiła mi wierzchowca — długo, za długo byłem za frontem. A bezczynność taka drogo kosztuje. Za dużo się czyta gazet, za dużo słucha dykusyi i polityki, za blisko się patrzy na nędzę ludno-

ści, no... i za dużo się myśli... A to wszystko żołnierzowi każdemu niepotrzebne... cóż dopiero mówić o żołnierzu Polaku...

Ton głosu, jakim to ostatnie zdanie wypowiedział, mówił więcej, niż słowa. Zrozumieli go nasi ułani i w mig poznali, kogo mają przed sobą. I wnet znikły lody towarzyskiej grzeczności i zaczęli już wspólnie omawiać, wspólną dla nich sprawę...

Ranny znał już historię powstania i dotychczasowe koleje Polskich Legionów. Część szczegółów słyszał jeszcze w Warszawie, które tam podziemnymi drogami dochodziły — reszty dowiedział się w czasie opatrunku od doktora. Było mu to jednak za mało. Skwapliwie wypytywał się o każdy drobiazg, o organizacje, podział na rodzaje broni, o nazwiska dowódców, pola walk, o stosunek do reszty armii — a przede wszystkim o to wszystko, czego nie zdołają ująć suche cyfry dat, ani obce uszom nazwy miejscowości. Starał się wczuć i wmyśleć w opowiadanie ułanów, chciał zrozumieć ich kąt widzenia, pragnął brać udział w ich radościach i bólach — ale widać było, że mu to nieraz ciężko przychodzi, że kierunek jego myśli idzie po innym, niewspółmiernym torze.

Pragnąc uniknąć przykrej chwili milczenia, zaczął mówić o sobie, mówił cicho, z wysiłkiem, jak człowiek, któremu chwilami tehu braknie, ale nie ustawał, owszem, spieszył się z opowiadaniem, jakby mu każdej chwili żal było, jakby chciał wyjawić wszystko, co mu leżało na sercu, jakby to było wyznanie wiary, a zarazem i spowiedź ostatnia.

A więc groźba wojny światowej... sto trosk i sto wahań... długie wieczorne narady... uspokajanie młodzieży, zimne, poważne traktowanie sprawy. A potem

ukaz mobilizacji... branka... ta niewiara w manifesty i ta świadomość, że po woli czy po niewoli iść musi.

W kraju cicho — czekają, milczą i pełnią rozkazy, za których niespełnienie, śmierć. A później przyszły wiadomości o tryumfalnym pochodzie przez Belgię. Liège padło — Namur padł. — Idą wciąż dalej pod bramy Paryża. Ale mniejsza o Liège, Namur i Paryż, Kalisz płonie, Częstochowa zajęta... Zagłębie... Ah! ten Kalisz — ten pożar — ta nęcza — ten głód...

Koń przestrelony pod nim padł. — Odwieźli ciężko potłuczonego, prawie bez przytomności do Warszawy.

To był tydzień ciszy...

A potem zaczynają się przesączać wiadomości z Krakowa. Manifest Komitetu narodowego — Polskie Legiony — a! to już rzecz inna, to sprawa, z którą się liczyć należy.

Lwów zdobyty — Halicz wzięty... Przemysł obleżony.... wojna przed bramami Krakowa...

Kraków, to miasto, gdzie zjeżdżali się jedni i drudzy, gdzie można było głośno mówić, myśleć i czuć po polsku — więc i to miasto zagrożone?!

Wyzdrowiał i znów wrócił do pułku. Zmęczony myślami, jechał tam, jak na odpoczynek. Wobec walk pozycyjnych kawalerya stała za linią — ot tak — na wszelki wypadek.

Ta nuda straszna beczynności w czasie wojny, ta nuda, którą tylko ten zrozumiał, co ją przeżył! Ta nuda, którą rozweselić jest w stanie tylko gra w karty, wino, lub pusta dziewczyna...

Tak przemijały im zimowe miesiące. A stronami szalała wojna dalej.

Kraków odetchnął — zadrżała Warszawa. W War-

szawiaku każdy nerw trzęsie się od niepewności... każdy nerw drży z obawy przed dalszymi losami miasta...

Ranny zamilkł. Pierś jego falowała ciężko, zmęczona długim mówieniem, a ręce nerwowo targały kraj bielizny.

Zrobiła się na sali cisza. Chorzy posnęli, doktorzy wykończyli już opatrunki i wycofali się do kancelaryi. Tylko za oknami konie ułańskie chrupały twarde siano i zadzwoniło czasem strzemię o strzemię...

Ranny porucznik zaczerpnął silniej oddech i zaczął znów mówić:

— Dużo spokoju zawdzięczam jednej okoliczności. Idąc na wojnę dreszcz mnie przechodził na myśl o spotkaniu tam... w polu... miałem brata na uniwersytecie krakowskim, stryjeczny mój brat jest poddanym pruskim... Ale obawy to płonne... W dzisiejszej wojnie ludzie już nie walczą — tu biją się masy. Tysiące kul bezimiennych strzelców leci i trafia w bezimiennie cele. Komu kula na wojnie pisana, temu obojętne, z czyjej ona ręki padnie. Nawet w szarży kawaleryjskiej i w ataku na bagnety to samo, bo wtedy chyba czasu na jedną myśl niema — cóż dopiero na romantyczne filozofowanie.

Z takim spokojem wewnętrznym jechałem z pułkiem na nowy teren operacyjny — do Besarabii. Ofensywa wasza, rozpoczęta pod Kirlibabą, dotarła wówczas aż do granic rosyjskiego państwa. Przez tydzień pobytu naszego w tych stronach trwała zażarta walka. Ni dnia, ni nocy spokojnej nie było. Poco ja wam zresztą o tem mówię; wszak wy lepiej wiecie sami...

Aż przyszedł dzień 13. maja. Łańcuch rowów strzeleckich pękł w jednym miejscu. Mieliśmy iść na przód. Pułk stanął na nogi i ruszyliśmy szybkim mar-

szem na Zachód. Po drodze dochodziły nas coraz to nowe wieści. Między Dniestrem a Prutem stały silne oddziały kawaleryi pruskiej. Mieliśmy wzdłuż nowo utworzonego frontu nad Prutem bez straty chwili czasu dojechać na wskazane na mapie miejsce i mieliśmy nagłą, niespodziewaną szarżą rozbić nieprzyjaciela.

Tak nam mówili półgłosem bardziej wtajemniczeni w plany sztabowcy...

Jechaliśmy gwarno i z uciechą. Ponad wszystko górowała radość kawalerzysty; to już nie drobne patrole, nie służba piechocka w rowach nas czekała, ale szarża na białą broń, pierś o pierś i szabla o szablę... Każdy z nas przy wsiadaniu oglądał starannie nogi wierzchowca i badał, czy też pęd ataku one wytrzymają, każdy przykrócał wyciągnięte długimi marszami puśliska strzemion i po raz dziesiąty przypominał sobie sposoby zwinięcia konia na miejscu. Jechaliśmy jak na turniej gwarno, szumnie, a z pośpiechem. Za nami sunęły lekkie górskie armatki, straszna broń, gdy towarzyszy pułkowi kawaleryi — przed nami szła sotnia pohulaj-duszów, Dońców kozackich.

Minęliśmy już Waszkowce i właśnie dojeżdżaliśmy na skręt drogi, którym wypadało nam zawrócić na prawo, gdy wtem patrole kozackie przyniosły nam galopem meldunek, że tylna straż, jakiegoś oddziału, cofając się, dochodzi do Prutu i za chwilę przejdzie most w Mamajesti.

Padły rozkazy. Sotnia kozaków i mój szwadron rozwiniętym szykiem do wsi, armatki na górę pod las.

Zestawiłem pluton, błysnęły już nad łąkami końskimi szabla, jak jeden promień słońca — aż tu nagle mijający nas cwałem adjutant krzyknął z daleka:

— To polscy Legioniści! Bij zabij w nich... Szwadron galop — marsz — marsz!

Pociemniało mi w oczach. Nie czułem nawet, że koń mój bierze już tempo, że rwie cwałem naprzód i że na dwie staje przed nami wieś.

A we wsi piekło...

Z gwizdem i wyciem dopadli Kozacy cofający się oddział, werżnęli się w sam jego środek, kłuli spisami rąbali na prawo i lewo.

Spojrzałem na leżącego przy drodze piechura. Krew na szarym mundurze, a na czapce orzełek — nasz polski orzeł Jagiellonów...

Gruchnęła salwa... Dzielne chłopaki nie dały się wziąć Kozakom. Bronią się, rozsypują po opłotkach, kłują bagnetami... dzielne chłopaki!

Ale tam z boku — o Jezu — tam jeden stanął, rzucił broń i krzyknął: „Poddaję się“... Nie wiem, com wtedy pomyślał, czy koń mój zestraszony skoczył w bok, czy ostrogi moje w skórę mu się wdarły — sam nie wiem — byłem już przy nim — wszak szablę miałem do góry wzniesioną... płątnąłem — musiałem trafić, bo nieszczęśnik krwią się zalał i upadł; musiał krzyknąć, bo koń mój stanął dęba i rzucił się między Kozaków.

W tej samej chwili ujrzałem was na drugim brzegu. Z góry przez wieś rwaliście jak szary wąż cwałem do mostu, byle prędzej go dopaść i nas odeprzeć. Patrząc na most — nic z tego — już znaczna część piechoty kłusem go przebiega. Zatarasował się na moment — nie przejedziecie pod prąd ludzki.

Trwało to chwilę — w szwadronie okrzyknięto odwrot. Dragoni moi już się wycofali, czarni Kozacy je-

szeze się po wsi uwijają. Nie było czasu na nich czekać. Wszak mieliśmy na dziś inne zadanie...

Huknęły armatki. A potem syk nad nami szrapneli. To pułkowa artylerya doczyszczała przed odjazdem pole. Ginęli od jej strzałów zarówno oni — polskie Sokolczyki — jak i Kozacy.

Co potem się stało, nie wiem. Znaleziono mnie z rozzerwaną szrapnelem ręką. Nie wycofałem się widać wraz z innymi na czas. Uptyw krwi był duży, może za duży, bo sił w żyłach nie czuję. Już mi nie wiele godzin życia pozostało... ale to i lepiej... i tak mogłem jeszcze wam..."

Nie skończył, sił mu brakowało.

Leżał bez ruchu, lecz oczami dziękował ułanom za to, że tu przyszli.

I znów cisza była w sali, tylko z za proga dochodził szept rozmowy. To kapelan Legionów szedł rannych odwiedzić.

Ułani wysunęli się w milczeniu do koni i za chwilę jechali znów dalej.

Ale w marszu tym do taktu kopyt budziła się w nich myśl, że poza wiarą w tajemniczą przyszłość i poza męstwem polskiego żołnierza pozostawała im rzecz trzecia — realna i żywa — ta iskra, która tlejąc wśród pożarów wojny, potrafi może kiedyś i zorze rozniecić — Legion polski...

Cecina, 25/V. 1915.

N A D P R U T E M.

(Z CZERWCOWEJ KAMPANII II-GO DYWIZYONU KAWALERYI LEGIONÓW POLSKICH).

Po pełnych trudów walkach majowych na granicy Besarabii, II Brygada Legionów obsadziła linię obronną Prutu od samych prawie Czerniowiec aż popod Hlinicę. Na przeciwny brzeg Prutu przeprowały się z Ceciny i Strzeleckiego Kąta od czasu do czasu tylko patrole 2-go lub 3-go szwadronu, i w niespodziewanych, nagłych podejściach zbierały skrętnie materiały wywiadowczy.

Patrole te, prowadzone kolejno przez por. Kordeckiego, Rabińskiego, Topora, wachm. Konarskiego, Wąsowicza, Rostworowskiego, Sokołowskiego, Adamskiego i Łuszczewskiego, miały nie mało w sobie uroku. Każdy przejazd przez rzekę, czy to w bród, czy po mostach rzadko rozstawionych, narażał patrolujące oddziały w głębi doliny na odcięcie przez nieprzyjaciela. Wiele też sprytu komendantów wymagało wywijanie się zręczne z okalających ruchów sotni kozackich, wiele brawury było w podjeżdżaniu pod zagajniki, z których na 500 nieraz kroków zaterkotał karabinek maszynowy lub wysunęła się linia rosyjskiej tyralierki, dobrych oczów wymagało obserwowanie pozycji artyleryjskich z łozin nadrzecznych i dużo zimnej krwi przy wycofywaniu się do mostów w krytycznych momentach.

Na jednym z tych patroli prowadzonym przez por. Kordeckiego zginął w czasie szarży na rosyjskich dragonów śp. Stefan Jaworski, ułan 3-go szwadronu. Na drugim, prowadzonym przez Wąsowicza młodszego, ogień karabinu maszynowego poranił nam kilka koni i powybił dziury w czapkach, pasach, ładownicach i uzdach ułańskich, oszczędzając ludzi. Trudy i straty tu poniesione nie poszły jednak na marne. Meldunki były tak dokładne, że późniejszy plan działania w znacznej części na nich mógł się oprzeć.

Zanim do tego doszło, wypadło jeszcze zaczekać, póki ofenzywa rozpoczęta nad Dniestrem nie poderwie skrzydeł pozycyi rosyjskich nad Prutem. Teren nasz, najbardziej na wschód i południe wysunięty, był pewnego rodzaju osią, koło której okręcało się ramię galicyjskiej ofenzywy. Punkt ciężkości dla naszych pozycyj koncentrował się w okolicach Śniatyna i Kołomyi. Tam to, na polach znanych dobrze Legionom z walk marcowych, rozgrywały się wówczas krwawe zapasy armii Pflanzera-Baltina. Szczęście wojenne długo ważyło się na obie strony. Jakimi były te zażarte walki świadczy strata 16 pułków kawaleryi rosyjskiej, wystrzelanych ogniem kartaczy w czasie ataku na Kołomyje.

Codzień oczekiwaliśmy wówczas rozkazu podjęcia ofenzywy i zawsze spotykał nas zawód. Aż wreszcie 7-go czerwca pod wieczór mieliśmy ruszyć za Prut. Ofenzywa była zaczęta, a najtrudniejsze w niej zadanie przyjęła na siebie — wypróbowana tylokrotnie Brygada Legionów.

W eichą, choć duszną noc pomaszerowały bataliony piechoty i oba szwadrony poprzez most za Hlinicą na lewy brzeg Prutu i ruszyły do ataku, ruszyły na długie pod ogniem spędzane dni, na krótkie, ale bezsenne,

bo pełne czujności noce, na niekończące się marsze wśród prochu, dymu i skwaru, na głód i na śmierć, ale pełne wiary w to, co tam na nich czekało, wiary w zwycięstwo.

A wiary tej braknąć nie mogło. Wszak tam na czele pierwszych batalionów kroczyła wysoka sucha żołnierska postać. To bohater-wódz, który stał się w czasach największych trudów i najcięższych walk, najprzód drugiego pułku a potem całej drugiej Brygady, jej głową i sercem, jej symbolem i już dzisiaj nieledwie legendą, ten schorowany, a żelazny żołnierz, który trwa nie przy nas, ale wśród nas od miesięcy całych w leśnych szałasach, w ziemnych jamach rowów strzeleckich — pułkownik Zieliński.

Gdy on szedł na przedzie, wiedzieliśmy, że nie idziemy na darmo.

A ta druga ofenzywa bukowińska, od tej pierwszej, którą prowadził od Kirlibaby aż po Dniestr, łatwiejszą nie była. Gorszymi wrogami wówczas od Moskali były śniegi i mrozy; ale teraz za to w grę wchodziły już nie tylko sprawy wojskowe. Tu już wmieszana była i polityka i dyplomacya i na szwank narażony *pré*stige Rosyi ze względu na sąsiadów. W takich warunkach pięćdziesiąt kilometrów nie ustępuje się za darmo, w takim położeniu padają rozkazy: bronić się do ostatka. Przewidywania, że natrafi się na duży opór dużych sił, potwierdziła cała historia tej ofenzywy. Opór ten nie słabnął, ale wzmagał się w miarę zwycięstw.

Już 8-go między Hlinicą a Witelówką wywiązała się gwałtowna walka naszej piechoty. Legiony posuwały się naprzód. Dziewiątego rozpoczął się bój o Łużany. Dywizyon kawaleryi podjechał do cukrowni Łużańskiej i stał w czasie bitwy jako osłona artylerii.

Dojazd do tych pozycji zapisze się na długo w naszej pamięci. Wśród huku bijących baterii kluczyły szwadrony brzegiem Prutu wśród łożyn, burzanów i wysokich traw, rozciągniętym rzędem, koń od konia o 30 kroków poprzez liczne odnogi tej rzeki — pospiesznie, choć ostrożnie, tak, jak to lubił nas prowadzić rotmistrz Wąsowicz. „Po co — mawiał — ściągać na siebie ogień szrapneli, kiedy nasze konie i szable mogą się na coś lepszego przydać“.

Pod wieczór dostaliśmy rozkaz zapełnienia luki, jaka powstała między Brygadą a sąsiednią grupą armii. Za wszelką cenę trzeba było tę lukę zapełnić. Po ciemku już rozjechały się nasze patrole, które prowadzili w samotrzeć plut. Świdziński, Eiserman z 2-go szw., Koy i Pachański z 3-go szw. na wszystkie strony i pomimo słabej znajomości terenu i bardzo ciemnej nocy nawiązały żadaną łączność z szwadronem huzarów między Mamajesti a Lenkowcami i przywiozły nadto meldunki o kierunku odwrotu nieprzyjaciela.

Noc zeszła nam na placówkach, ciągnących się na przestrzeni dobrych może pięciu kilometrów. O słabości obsady dowodzi fakt, że rezerwę na cały odcinek stanowiło 15 ułanów. Noc minęła jednak względnie spokojnie. Na drugi dzień wyjechała zato większość naszych ułanów na patrole wywiadowcze, łączące i meldunkowe. Bitwa toczyła się dalej na prawem skrzydle, podczas gdy na lewym patrole nasze dotarły aż pod samą wieś Szubraniec. Szczególnie dzielnie spisał się wówczas kapral Józef Sperber, który podjechał na sto kroków pod pozycje rosyjskie i dopiero, zasypany gradem kul ze strzech pobliskich chałup, wycofał się z powrotem. I znów patrole nasze dostarczyły tyle waż-

nych meldunków, że aż komenda uznała za słuszne wyrazić swe pełne zadowolenie.

O świcie następnego dnia, to zn. 11-ego, powędrowały znów podjazdy w przedniej straży, a dywizyon posunął się tuż za linią tyralierską, mijając rezerwy, aż do wsi Szubraniec, gdzie dostał rozkaz ostrego przygotowania.

Przewidywaną była pogoń za cofającym się nieprzyjacielem.

Przestaliśmy w cieniu drzew parkowych do południa. Dochodziły do nas tylko pojedyncze, przenoszące górę strzały szrapnelowe. Za górą zato, od strony Zdobrówki, rozlegała się taka palba karabinowa, jaką dotąd słyszeliśmy tylko pod Mołotkowem i raz w Bortnikach. Na tym małym odcinku pracowało naraz kilkanaście karabinów maszynowych i kilka tysięcy sztuk broni ręcznej. Pod tym strasliwym ogniem leżała tyraliera naszej dzielnej piechoty. Mało mówić leżała — szła wciąż naprzód. Były momenty krytyczne, były chwile, w których wydawało się, że chłopcy nie zdołają ognia wytrzymać; rezerwy ostatnie ruszyły już na pomoc i z kolei same znalazły się w ogniu. W najbardziej decydującym momencie, gdy już mniej wytrzymali zaczęli się z linii wycofywać, zjawił się wśród pierwszych linii Pułkownik Zieliński. Laską, jaką nosi zawsze przy sobie, zaganiał ustępujących z powrotem, a reszta, podniecona jego obecnością, porwała się znów do szturmów.

W tym samym czasie 7 kompania III pułku doszła już ruchem skrzydłowym i zajęła flankę nieprzyjaciela. Część piechoty rosyjskiej czując się oskrzydloną, złożyła broń.

W pół godziny później przypadł nam oficer ordy-

nansowy z rozkazem podjęcia pogoni. Nie minęła minuta, a już ułani jechali wyciągniętą rysią w stronę góry, na której stał sztab. Pułkownik Küttner wskazał nam kierunek pogoni. Szwadrony rozwinęły się w linię. Oстрыm kłusem przejechały szeroki szumiący łąn pszenicy, przegalopowały przez bagnistą łąkę, skoczyły w pędzie w szereg rowów i dopadły do ostatnich domów Sadogóry. Szpice nasze ostrzelał ostatni cofający się oddział piechoty rosyjskiej, lecz i ten znikł w tej chwili w ogromnym lesie, ciągnącym się na skalistych wzgórzach w stronie Czarniawki. Ścigać ich dalej było rzeczą niemożliwą. Przyznam się, że doznałszy wówczas gorzkiego zawodu, którego nie okupiła nawet radość przyjmującej nas, jako pierwszych, ludności ze Sadogóry. Jechać z taką furją kilka kilometrów, cieszyć się na szarżę na równinie, a natknąć się na skalisty brzeg lasu, toż to zawód nielada. Nadeszłe później wiadomości trochę nas pocieszyły. Oto tych kilku jeźdźców meldunkowych (Byszczyński i Król z 3 szw.), którzy przydzieleni byli tego dnia do piechoty, zdołało wziąć 40 przeszło Moskali do niewoli. Czyn młodziutkiego ułana z 2 szwadronu, Garbaczewskiego, zasługuje tu na dokładniejsze opisanie.

Garbaczewski widząc poddające się oddziały na górze, pognął sam do wsi Zadobrówki, zwołał chłopów, ustawił ich w krzakach i kazał im głośno krzyczeć „hurra“. Sam wyjechał konno przed ciągnący się od tej strony okop i krzyknął: „poddawajcie się“. Gdy z tyłu rozległy się wrzaski chłopów, Moskale sądząc, że mają do czynienia z całą kompanią, podnieśli ręce do góry; Garbaczewski kazał im wyjść z rowów, dał znać chłopom, by z tyłu podchodząc, zabrali karabiny i wtedy dopiero podstęp jego wyszedł na jaw. Soldaty

rosyjskie zakleły czysto po swojemu widząc, jaki im żart ten chłopak wyprawiał. Oficer z wściekłością porwał za rewolwer i wystrzelił do naszego ułana. Sytuacja stała się groźną, bo i piechota mogła jeszcze wrócić po karabiny. Garbaczewski jednak nie wiele myśląc, doskoczył z szablą do oficera i trzasnął go przez głowę. Widząc to reszta, uległa i pozwoliła się chłopakowi prowadzić do niewoli. Wszystko to działo się na oczach stojącego na górze sztabu. Nie dziw więc, że za powrotem powitały młodego tryumfatora okrzyki pochwały i zachwytu nad jego dzielnością. Garbaczewski podany został za ten czyn do medalu waleczności. Opowiadanie jego rozchmurzyło resztę towarzyszków broni. Z przyjemnością również usłyszeliśmy z ust sztabowców korpusu, do którego jesteśmy przydzieleni, zdanie: „Dzień dzisiejszy to dzień polskich Legionów“.

Nie było w tem przesady. Front rosyjski przerwany pod Zadobrówką, cofnął się na całej linii. Zwycięstwo było kompletnem. I tego jednak dnia odpoczynek nie był nam pisany. Bataliony piechoty pomaszerowały przez las, kawalerya podążyła szosą do Szancen.

W Szancen otrzymaliśmy rozkaz posunięcia się naprzód i zajęcia nowych pozycji w stronę Czarniawki. Komendę dywizyonu objął chwilowo por. Leg. Włodek, gdyż rotmistrz nasz, Zb. Wąsowicz, rozchorował się i musiał pozostać na przeciąg dwóch dni w Sadogórze. Pod wodzą zatem Włodka ruszyły szwadrony naprzód przy oświetleniu zachodzącego słońca w głąb daleko ciągnących się lasów. Szpica nasza, prowadzona przez wachm. Sokołowskiego, minąć miała ostatnie drzewa lasu, już od strony Czarniawki, gdy nagle oficer sąsiadującej z nami dywizyi zatrzymał go słowami: „Stój, na miłość Boską! Jeszcze krok a zasypani zostanieiecie

ogniem karabinów maszynowych i artylerii!“ Patrol przedni zameldował powód zatrzymania się por. Włodkowi, a ten udał się do komendy Brygady po rozkazy wobec nowych wiadomości. Wkrótce wrócił jeździec ordynansowy z rozkazem jechania naprzód. I teraz jednak szpica nasza nie została przepuszczoną, a szwadronom nakazano wracać do Szancen. Por. Włodek uzyskał pozwolenie na wysłanie dwóch patroli po trzech ludzi dla zbadania faktycznego stanu rzeczy. Na ochotnika zgłosił się wachm. Adamski z 2-go, a Koy z 3-go szwadronu. Zanim szwadrony dojechały do Szancen zawrócił je poraż trzeci kapitan sztabu Brygady Wagas i znów poprowadził na pierwotne stanowisko.

Po dłuższej naradzie obecnych tam komendantów uzyskaliśmy wreszcie pozwolenie na pojechanie naprzód, nie czekając nawet na powrót naszych podjazdów, wyjechały szwadrony tuż przed północą z lasu i patrolując drogę, dojechały do obronnej pozycji rosyjskiej, otoczonej drutami kolczastymi.

Okopy te okazały się rzeczywiście pustymi. W 80 karabinów obsadziliśmy cały odcinek szeroki może na 2 klm i czuwając całą noc, przetrwaliśmy w pogotowiu aż do świtu. W ciągu tego czasu patrole rosyjskie podsuszały się z różnych stron, lecz po krótkiej wymianie strzałów cofały się z powrotem, sądząc widzieć, że już cała linia obsadzona jest przez naszą piechotę. O świcie przymaszerowały wreszcie bataliony dwóch pułków legionowych, które zluzowały nas z tego silnie eksponowanego stanowiska. Lecz i po ich przyjsciu musieliśmy obsadzić jeszcze na parę godzin najwyższy punkt tej linii obronnej, przyczem dostaliśmy się w krzyżowy ogień z trzech stron nadciągających oddziałów rosyjskich. Zluzowani z tego stanowi-

ska przez piechotę austriackiej dywizji, mogliśmy wrócić do koni, silnie już pomęczeni trzechdniową ciągłą służbą.

Zaledwie zdążyliśmy podać koniom obroki, gdy nadszedł rozkaz dalszego marszu naprzód. Rosyane cofnęły się na drugą linię obronną nad samą granicą Besarabii. Z dywizyonu odłączyły się wnet trzy patrole; jeden prowadzony przez wachm. Jagryma, drugi przez wachm. Rostworowskiego, trzeci przez wachm. Konarskiego, które zbadać miały ugrupowanie sił nieprzyjacielskich w okolicy Rewkawiec i ruszyły w stronę Rokitny. Patrole wysłane wróciły dopiero koło południa, przywożąc plan sytuacyjny. Zapuşciły się aż pod same pozycje rosyjskie, a jeden z nich, wachm. Jagryma o mało nie wpadł w ręce sotni Turkmenów, zajeżdżających mu drogę powrotną. Tylko ostre tempo galopu zdążyło naszych wyratować z zamykającego się przed nimi niewodu.

Ponieważ meldunki obu szwadronów z Rokitny potwierdziły obecność tam znaczniejszych sił nieprzyjacielskich, i artylerii, która je obsypała szrapnelami, raniąc kapr. Maliszewskiego, więc piechota nasza podążyła tyralierą pod tę wieś. Niebawem rozgorzała żarta bitwa. Ogień szrapneli rosyjskich zasypywał formalnie całą okolicę rzeczki, przez którą musiały nasze piechury przejść, by dostać się do wsi. Ponieważ lewe i prawe skrzydła sąsiadujących z Legionami oddziałów zatrzymały się, więc i nasze pułki nie mogły iść naprzód, lecz utrzymywać musiały pod strasznym ogniem raz zajęte pozycje. I ułani nasi, wysłani do rozwożenia rozkazów, trwali również w tym ogniu. Na najbardziej zagrożone odcinki dojeżdżali aż do samej tyralierki, nie bacząc na to, że postać jeźdźca na koniu

jest wyśmienitym celem dla nieprzyjaciela. W jazdach tych na szczególne wymienienie zasłużyli sobie ułani T. Hawliczek i Maciej z 2-go szwadronu. Jeden z nich otrzymał dosłownie rozkaz: „Ułan pojedzie w to miejsce, koło trzech drzew, gdzie właśnie w tej chwili pękły dwa szrapnele. Meldunek ważny; jechać galopem, może wam się uda tam dostać“. W kilkanaście minut później meldunek był doręczony.

Wśród ciągłej strzelaniny zapadła noc, kładąc chwilami kres śmiertelnym zapasom. Skorzystał z tego pułk. Zieliński, by posunąć się ze sztabem pułkowym jeszcze o 1000 kroków bliżej tyralierki.

II.

Dywizyon kawaleryi zebrał się w komplecie w sadzie owocowym na szczycie góry. Dojechały tam po trzech dniach po raz pierwszy kuchnie polowe i ułani przypomnieli sobie teraz dopiero, że właściwie tego dnia nie dotąd w ustach nie mieli. Pod rozłożystym dębem zasiedli nasi oficerowie. A więc zawsze pogodny Włodek, siejąc wokół dowcipnymi uwagami nad wojną, życiem i światem; więc dziwnie dnia tego pochmurny Topór, którego koczyło, że nasi tak blisko Lwowa, a on jeszcze tam jechać nie może, by żonę choć na dni parę odwiedzić; więc ruchliwy i zawsze wspaniale zaprowiantowany Nowakowski, wachmistrz, w którego paktaszkach nie zabrakło nigdy papierosów dla kolegów; więc dziarski i uczynny podp. Fąfara; dalej trójka nierozłącznych od czasów krakowskich wachmistrzów, trójka dyskutująca ciągle nad przyszłością Legionów i Polski; wreszcie kręcący się wśród ułanów, których przeprowadził ze sobą z plutonu pułk. Hallera, wachmistrz Adamski, wysoki, smukły, nasz szwadronowy Longinus — wszyscy oni byli wieczoru tego tam zebrani

na wzgórzu między Rarańczą i Rokitną, pod rozłożystymi konarami dębu.

Kto mógł wówczas przypuszczać że na drugi wieczór do tego sadu z nich wszystkich tylko jeden zdrów powróci? Chyba Topór, który trzynastki dziwnie nie lubił. Jeszcze tego wieczoru mówił: „Trzynastego sierpnia ubili mi pod Kielcami konia, czegom ledwo życiem nie przypłacił; dwudziestego szóstego października ledwo cały szwadron pod Cucyłowem głową nie nałożył; trzynastego maja pod Strzeleckim Kątem mało brakowało, by i po nas kozaczki nie przejechały — ano zobaczymy, co też nam jutro przyniesie?“ Zawinał się w białą derkę, kożuszek pod głowę sobie położył i usnął z myślą, że chyba Lwów za kilka dni znów będzie wolnym.

W parę godzin później wstał dzień 13 czerwca. O świcie wyruszyło, jak zwykle kilka patroli i kilku jeźdźców meldunkowych odłączyło się od szwadronu. Bitwa pod Rokitną zaczynała się na nowo.

O godzinie 6 ordynansowy jeździec przyniósł nam rozkaz odmarszu na pozycję. W kilka minut zebrały się szwadrony z nabytą w ciągu tyłu miesiący wojny sprawnością i pokłusowały wzdłuż samochodów korpuśnego sztabu na pozycje artylerji.

Na polu kwitnącej niebiesko lucerny przyszło nam wśród cudownego, słonecznego dnia spędzić parę godzin oczekiwania. Niebawem dojechali do nas na ranną przekąskę oficerowie sztabowi z Brygady, przywożąc świeże gazety. A z gazet tych były radosne wieści o zwycięstwach na wschodnim froncie. Południe mijało, gdy niespodziewanie nadjechał z bratem swym rotmistrz Wąsowicz. Głośne hurra powitało jego przybycie. Rotmistrz uśmiechem witał swych ułanów, patrzył

po szeregach, czy też którego z nich nie zabrakło, a dochodząc do nas zawołał: „Nie szarżowaliście jeszcze? a bałem się, że się spóźnię; to też, choć jeszcze zdrów zupełnie nie jestem, wróciłem, bom się przez te dwa dni zanadto za wami stęsknił“. I znów posypały się wesołe rozmowy, dyskusye i dowcipy.

Wtem nadjechał ordynans ze sztabu Brygady, powołując rotmistrza. Wiedzieliśmy, co to znaczy. Koniom przyciągnięto pasy, szwadrony posunęły się o dwa staje naprzód. Na wzgórzu stał rotmistrz z szefem sztabu i śledził za ruchem jego ręki. Chwilę coś tłumaczył, o coś się pytał, a potem do nas zawrócił i zirytowanym głosem krzyknął „Na koń!“

Szwadrony ruszyły kłusa wzdłuż niedawno wykopanych rowów strzeleckich. Przed nami o 4 klm. w dole ciągnie się wieś Rokitna, przed nią rzeczka — to granica Besarabii. Na lewo o kilka tysięcy kroków las; między lasem a wsią faliste błonie; na nim widać kilka wiatraków.

Jedziemy w lewo w kierunku lasu rozwiniętym szykiem. Padł rozkaz: „Rostworowski, Eizerman, Kossowski spatrolują las!“ Szwadrony za patrolami jadą kłusa, pada komenda „Dobądź — broń!“. Pierwszy rząd dojeżdża do rzeczki; konie mimowoli zwalniają tempo. Spozstrzegł to rotmistrz: „Dla polskiej kawalerii nie ma przeszkody“ — krzyknął i przesadził rzeczkę swą Hochlą. Za nim w trop wszyscy inni, choć brzeg stromy, urwisty.

Dywizyon skręcił w prawo na błonie za wsią. Gdy mijał okopaną naszą tyralierę piechoty, rotmistrz zawrócił konia i dał komendę: „Trzeci szwadron pod wieś w rezerwę, drugi szwadron tyralierą za mną galop!“ i sam pomknął na 50 kroków naprzód.

W dali widnieją rosyjskie okopy. A od okopów to tu, to tam odzywa się strzał. Kule zaczynają z rzadka brzęczeć koło uszów. Ruszyły konie marsz- marsz, rozwiały się szare ułanki od pędu, zacisnęły silniej dłonie na gardach pałaszy, zabłysnęły oczy radością.

Więc w końcu upragniona chwila nadeszła, chwila, o jakiej dzieckiem będąc, każdy z nas czytał w historii, w powieści, w poezji; więc my jedziem na ułańską szarżę, więc za chwilę my wpadniem na wroga, zabłysną szable nad jego głowami i ciąć, rąbać będziemy, co nam kule, co strzały — my jedziem — polska kawaleria.

Rozświeciły się twarze żołnierskie i z sześćdziesięciu młodych piersi krzyk poszedł „Hurra!“ A Topór im przewodzi, bo woła: „naprzód polskie ułany“ a wtórują mu inni: „Naprzód stara wiara, naprzód Przegorzalczyki!“

Chwila dziwna, chwila tak osobliwa, że ten, co ranny wracał ze szarży, mówił mi: „Gdybym wiedział, że w drugiej szarży rękę bym miał stracić, takibym pojechał!“

Jechali długim, szerokim rzędem, a równo jak nigdy, na żadnych ćwiczeniach. Kule idą coraz gęściej, jak rój os nadlatują. Zachwiał się w siodle jeden — tego jeszcze prawie wszyscy widzieli — to Kubik z trzeciego plutonu. Zachwiał się i padł z konia twarzą do ziemi, i na niej bez ruchu pozostał. Kula w czoło trafiła. Klacz jego kara „Mucha“ z rzędu nie wyłamała. Szła bez jeźdźca dalej.

Trafili na pierwszy rów strzelecki. Był pusty. Skoczyli rzędem, jak jechali — nie wszyscy. Koń z wachmistrzem Wąsowiczem zwałił się w rów, potem zer-

wał się i pogalopował dalej. Jeździec z pod kul wyszedł cało.

Za tym rowem drugi, ale już obsadzony piechotą. Jadą nasi. Tylko, że kule coraz gęściej lecą, tylko, że częściej trafiają. Ubiły „Fausta“ pod Brinkenem, jemu rękę i bok przeszły. Stachura dostał ich dwie w piersi. Ranny wali się Janiszyn, kontuzyjowany Szczepan, koń padł pod Polańskim. Skoczyli przez drugi rów—nie wszyscy. Pod Sokołowskim koń padł, przygniatając go ciężarem. Nadbiegł Rotkeel, wołany o pomoc. Odkrzyknął: „Wedle rozkazu“, dźwignął łeb konia i wachmistrza uratował. Sam dostał też kulę. Kapral Sperber ma ich trzy w nodze, por. Fafara jedną, ale bolesną w pachwinę. Konie ich ubite. Na lewo na wzgórku osunął się wachm. Adamski z „Gorgany“, trafiony w czoło. Cierpieć długo nie mógł, padł na wznak, ręce w krzyż rozłożył, i tak już pozostał. „Gorgana“ jego do wsi lekko ranna wróciła. Zwaliała się „Siwka“ kapr. Liszki i „Murzyn“ plut. Świdzińskiego — wrócili obaj. Byli może i inni ranni, ale tego nie czuli, gdyż rwali naprzód. Osunął się ranny Garbaczewski; koń jego poszedł za innym, ale wnet zawrócił do swojego pana i stał bezradny nad leżącym ułanem — jak w bajce, a było to prawdą.

Ci, co pognali dalej, tego nie widzieli. Przed nimi na sto kroków ciągnął się już nie rów, ale darnią kryty okop strzelecki. Sto strzelnic na nich patrzyło, a z każdej wystawał najeżony bagnet. Gęsto było Moskali, jak mrowia. Pada salwa jedna, druga, trzecia, dziesiąta. Chwilę zaterkotały karabiny maszynowe, ale głos ich się zgubił wnet, w ciągłym huku broni palnej. To nie kule pojedyncze już szły na jeźdźców i nie po je-

dnej koło nich syczało — to szły ich roje, jak jeden przeciągły syk.

W okopie była przerwa. Na wiodącą tam drogę skręcił rotmistrz, skręcili i inni. Nie wszyscy... Łuszczewski już leżał.

Rotmistrz krzyknął: „Zdawajścia!“ I stała się rzecz nieoczekiwana. Ci, ukryci w głębokim rowie piechury rosyjscy, których ułani nawet szablą dosięgnąć nie mogli, zdreśli na widok pędzących, ręce wzniesli do góry i o zmiłowanie prosili.

Okop był zdobyty. Ale z prawej flanki ogień nie zesłabł; owszem wzmógł się jeszcze. Padła Hochla rotmistrza i on sam miał już bok przeszły. Chcieli go inni ratować. Dał znak ręką, by jechali dalej i tylko żegnał się z nimi. Za chwilę i Włodek trafiony w usta, padł wraz z koniem, osunął się ranny Jagrym, Topór teraz prowadził. Za nim wdarła się przez bramę reszta. Kilka koni okop wprost przeskoczyło. Zajechali na Moskali z tyłu. Kuszal jeden dosięgnął ich szablą i już płątnął piechura w głowę. Krzyknęli znów, że się poddają, a w piersiach tych kilkunastu ułanów, którzy tam dojechali, zbudziło się uczucie tryumfu: Zdobyli okopy!!

Ale z flankowych rowów porwali się Moskale na bagnety. Padł przebity koń Topora. On bronił się jeszcze rewolwerem i szablą, aż osunął się przeszły dziesięcioma kulami. Obok zginął Rakowski. Na ten widok Moskale z frontowego okopu znów chwytają za porzucone przed sekundą karabiny. Na dwa kroki dają salwę do ułanów. Ale i tak źle mierzyli. Zranili konie nie ludzi.

Wtem z góry pada szrapnel, kartacz, czy granat — skąd szedł niewiadomo, czy to od armat, które ostrzelały przed chwilą pod lasem boczną patrol Rostworow-

skiego i Kossowskiego, czy od tych, które stały za okopem o 100 kroków, czy jeszcze od innych, niewiadomo. Dość, że pocisk padł w środek rosyjskiego okopu i jednym wybuchem zwałił nam pięciu ułanów. Kapral K. Karasiński, Tworkowski, Starczewski, walczący pod pseudonimem Rawskiego, Żwatszke i Majda padli w proch. Padli i zastygli, dzierząc w dłoniach szable. Upadł wachm. Nowakowski, który potem opatrzony przez Moskali, zmarł w ciągu nocy z 10 otrzymanych ran; upadł z koniem kapral Bokalski, również ranny, który udając umarłego, dał się obrabować, lecz gdy doczekał się nocy, wypełznął z okopu, ubił kolbą karabinu placówkę rosyjską i przyniósł do sztabu meldunek o rozkładzie rowów.

Od dalszych salw, idących od okopu rezerwy czy szrapneli ranni zostali: Jakubowicz, Sierhiejewicz. Krawczyński, Prokop, kapral Sztembarth, Kułakowski, Ściborowski; zabity Eugeniusz Potok, słuchacz praw z Krakowa i Szysz, ogłuszony Łabędzki, zraniony Metsche, kapral Mieczysław Chwalibóg, Senowski i Firlit. Ubitych kilkanaście koni zasiało pole, a w ich liczbie chwały naszego szwadronu: Ocean, Pajac, gniady Erivan.

Tych kilku, co zostało w siodłach, przeszedł dreszcz. O 100 kroków przed nimi, za okopem rezerwy, rosyjskie armaty, ale dojechać do nich nie sposób, bo okop za wysoki i za długi. Pod jego ogniem przejechali, a inni przebiegli drogę do wsi i tamtędy siedmiu jeszcze do naszych pozycji wróciło.

Gdy mijali ten okop, doszedł ich głos rosyjskich oficerów: „Wot gieroje, mołodecy!“ a z góry były jeszcze do nich szrapnele.

Szarża była skończona. Ustały strzały, ścichły jęki

konających i rżenie koni. Planowany atak naszej piechoty odwołano, trzeci szwadron cofnięto rozkazem już wcześniej. Przy granicznej rzeczce zbierali się ci, co wrócili z szarży i z pod lasu. Opatrzono rannych, starano się doliczyć zabitych. Brakowało ich bardzo wielu. Doktor nasz szwadronowy Bujalski, nie bacząc na to, że wieś jeszcze nie zajęta, przeszukał wszystkie skrajne osady i chałupy, i jak prawdziwie ułański doktor opatrzył ludzi i — konie. Ranny wachmistrz Sokołowski dosiadł jeszcze jednego z nich i powoli wracał na górę do Rarańczy. Gdy ujrzał go bryg. Küttner, zdjął przed jego siwą głową sztabowe czako i zawołał: „Cześć bohaterom!“

Pod wieczór tego dnia wystąpił przed placówki naszej piechoty lekarz Więckowski i nie bacząc na gwizd kul, skierowanych do niego, niósł jako parlamentaryusz do okopów rosyjskich list z prośbą o wydanie rannych. I byłby to może uzyskał, gdyż i z drugiej strony wystąpił już z białą chustą oficer, lecz fatalna pomyłka rozłożonych na skrzydle placówek udaremniła strzałami ten zbożny czyn. Niechaj ta wzmianka będzie mu przynajmniej nagrodą za okazane poświęcenie.

III.

Przed świtem następnego dnia Moskale, obawiając się dalszych ataków, opuścili bez strzału okopy pod Rokitną. Gdy tylko doszły o tem meldunki, wyprawiły się patrole 2-go i 3-go szwadronu i objechały całe pobojowisko. Kto je wtedy widział, będzie je pamiętał do śmierci.

Z tych skrwawionych zwłok bohaterów, z tych zaciśniętych w dłoniach pałaszy, z tych postrzelanych trupów końskich, rozsianych tem gęściej, im bliżej osta-

tnich okopów i pustych dziś pozycjach artylerji, bił jeszcze pęd wczorajszego ataku. Zwłoki porąbanych wśród okopów Moskali świadczyły o tem, że niejedno drogo sprzedawał swe życie. Rannych zabrali pierwotnie Rosyanie ze sobą, lecz przy dalszej ofensywie odnalazł ich wachm. Konarski z 3-go szwadronu w sąsiedniej wsi Dinancy — jednak nie wszystkich, tylko tych, których wieść już dalej się nie dało.

Zwłoki zabitych zabraliśmy na wozy ubrane kwieciami polnem i przewieźliśmy przez granicę do wsi Rarańcze. Pluton pozostałych towarzyszy broni był im eskortą w tej powrotnej drodze.

Dnia 15-go czerwca odbył się żołnierski pogrzeb w Rarańcach. Deputacje komendy korpusu i stacjonujących tam pułków zapełniły cmentarz wiejski. Piętnaście białych, z desek zбитych trumien znieśli na swych barkach ułani; każdą ustroiły kwiaty, tylko jedna trumna rotmistrza Wąsowicza okryta była czerwono-białym całunem, a nad nią wznosiło się czako ułańskie i złamana szabla.

Kapelan 3-go pułku ks. Panaś odprawił nabożeństwo za poległych, poczem zwięźle przemówił w te słowa: „Za duszę tych, co wiedząc, że idą na pewną śmierć — poszli, by pokazać, że każdy rozkaz wypełnić potrafią, zmówcie, bracia, Ojczyzna, któryś jest w niebiesiach...“

A potem z nielicznych szeregów drugiego szwadronu wystąpił wachm. Sokołowski¹⁾. Choć ranny, bo ręka zwieszona na temblaku kryje się w fałdach brunatnego płaszcza, choć włos jego siwy — silnym, mło-

¹⁾ Wachm. Sokołowski jest prawnukiem wachm. Sokołowskiego, który padł w szarży pod Samosierrą.

dym głosem przemówił: — „Oto towarzysze nasi... Choć ból nam serca kruszy, płakać nad ich bohaterską śmiercią nie chcemy. — Jeśli jaka myśl nam dolega, to ta, że na ich czele padli — a dziś tu leżą nasi wodzowie — nasz rotmistrz Wąsowicz, porucznik Włodek i Topór. To godni spadkobiercy ojców i dziadów z pod Kircholmu, Samosierry i Ostrołęki. Wysłani na rosyjskie okopy, wiedzieli, że zginą. Lecz poszli — by udowodnić, że żołnierz polski przed wypełnieniem rozkazu nigdy się nie cofnie, że spełni go, choćby to życiem miał przepłacić. Poszli na okopy, by krwią podpisać miłość do Ojczyzny. Niech wiedzą wszyscy, wszyscy wrogowie Polski do jakich czynów żołnierz-Polak jest zdolny. Ufajmy, że krew ta nadarmo przelana nie będzie, że zapłaci za nią spełnienie naszych postulatów narodowych, za które walczyli i zginęli. Cześć Wam, bohaterscy towarzysze nasi“.

Sokołowski umilkł. I cisza zapanowała na chwilę wśród krzyżów wiejskiego cmentarza. Tylko myśli tych, co tam jeszcze żywi w mundurach Legionów Polskich stali, poszły za mocnymi słowami mowcy i tułały się w tej przestrzeni dziejów, śladami przelanej krwi ułańskiej od skał Samosierry aż po stopy Rokitny i podążyły tam, gdzie je mowca skierował — w mglistą przyszłość naszego bytu narodowego. Z szeregów wystąpił por. Kordecki. W imieniu tej wielkiej, choć rozsypanej dziś rodziny — polskiej kawaleryi żegnał serdecznymi słowami w mogiły składanych ułanów.

Gdy skończył Kordecki, wysunęła się z grupy sztabowych oficerów czcigodna postać pułk. Zielińskiego. Przemawiać on nie chciał — obszedł tylko szereg białych trumien, nad każdą się chwilę pochylił, nazwiska

żołnierzy odczytał, rękę por. Łuszczewskiego, płaczącego nad zwłokami syna, uścisnął, a choć słowa nie rzekł, odczuliśmy wszyscy tę cichą mowę żałobną.

Przy śpiewie narodowych, a tak smutnych pieśni: „Boże Ojczy” i z „Dymem pożarów“, zsuwały się jedna za drugą trumny ułanów w cień białych, świeżo postawionych krzyżów. W kilka dni później otoczyliśmy, korzystając z wolnej chwili, świeże mogiły ciernistym drutem i okryli je darniną. Proste, skromne tablice, przybite do krzyżów, mówią o nazwiskach tam leżących. Ze składek, zbieranych na oficerskich zebraniach rośnie powoli fundusz na większe, trwalsze pomniki.

W godzinę po pogrzebie wyruszył drugi szwadron — w sile coprawda tylko jednego plutonu 25 ludzi pod komendą Rostworowskiego na pozycje, a tem samem zaznaczył, że istnieć, jako jednostka bojowa, nie przestał. Przez następne tygodnie powracali wraz z końmi lżej ranni do szeregów i niebawem szwadron znów powrócił do normalniejszych warunków.

Dnia 17. czerwca przypadło 2-mu dywizyonowi zadanie eskortowania wziętych przez naszą piechotę 1.300 Rosyan do Czerniowiec. W dniu tym odparła nasza piechota ośm ataków rosyjskich, wspomóżonych ogniem artylerji, która podjechała na 500 kroków przed nasze druty.

W bitwie tej przyszedł moment, że obrońcy zachwiali się. Spostrzegł to na szczęście pułkownik Zieliński. Z okrzykiem: „Polacy pójdą za mną!“ poprowadził — jak zwykle z laską — chwiejący się oddział z powrotem w ogień i czynem tym przechylił ostatecznie nasze zwycięstwo.

Koniec czerwca upłynął względnie spokojnie na strażowaniu granicy bukowińsko - besarabskiej. Przer-

wała ciszę dla nas uroczystość rozdania 73 medali za waleczność w 2-gim szwadronie.

Na tej linii obronnej mieliśmy stać jeszcze długo, tam przyszło nam powitać wieści o odzyskaniu Lwowa, Lublina, Warszawy i Wilna. Czyż trudno się dziwić, że te wiadomości nasunęły raz jeszcze to od roku prawie tłoczące się już nam do myśli pytanie: „Kiedyż nas połączą?“

Lipiec 1915.

P O L E G Ł Y M N A P O L U C H W A Ł Y.

Rozkaz c. i k. Komendy II Brygady Legionów Polskich z dnia 14. VI. 1915.

...Stosunki bojowe dnia 13 bm. domagały się współdziałania kawalerii przy ataku na oszańcowane pozycje nieprzyjacielskie. Zadanie, które przypadło kawalerii, nie było łatwe; zostało jednak przez II-gi szwadron pod dowództwem rotmistrza Dunina-Wąsowicza, który przytem poniósł śmierć bohaterską, w tak świetny sposób przeprowadzone, iż chyba historia podobnego nie zna przykładu. Szwadron przejechał przez trzy służące do celów flankowych i częściowo obsadzone rowy strzeleckie i zaatakował potem z bezprzykładną odwagą i pogardą śmierci około 2 kilometrowe pozycje główne nieprzyjaciela, przejeżdżając je z flanki wśród najsilniejszego ognia piechoty, karabinów maszynowych i artylerii. Jeśli spodziewanego rezultatu nie było, należy sprowadzić to do innych nieszczęśliwych okoliczności: szwadron uczynił więcej, niż swą powinność.

Ten atak będzie w historii Legionów uwieczniony jako najwspanialszy czyn kawalerii, a każdy, kto ten atak przeżył, może z uzasadnioną dumą uderzyć się w piersi i zawołać: „Niech kto tego dokaże!“ Pod bolesnem wrażeniem poniesionych przy tym ataku strat, dziękuję w imieniu Najwyższej służby bohaterskim jeźdźcom II-go szwadronu.

Wszyscy uczestnicy ataku zostaną przezemnie podani do najwyższego odznaczenia.

Küttner, obt.

* * *

Po stu siedmiu latach, dzielących nas od Samosierry, historia zapisała nową kartę dziejów polskiego ułan-legionisty: szarżę 2-go szwadronu na poczwórne okopy rosyjskie pod Rokitną. Równie bohaterska, z równą pogardą śmierci wykonana, ale też równie krwawa. Pojechała ich garstka — siedmdziesięciu; wiedzieli, że jadą na stracenie, ale rwali naprzód, bo w uszach brzmiał im rozkaz zdobycia okopów, bo w żyłach grała im krew tamtych, wielkich przodków szwoleżerskiego znaku. Padło ich na miejscu piętnastu, dwudziestu rannych zasiało pole, dwudziestu jeden zważyło się z zabitymi i poranionymi końmi, dziewięciu przejechało pod same karabiny maszynowe i armaty, poprzez cztery rowy strzeleckie i okopy. Dziewięciu — to było za mało; musieli pod szrapnelami skręcić do wsi, a z tych bez ran wróciło do flankowych patroli siedmiu.

Między drugim, a trzecim okopem padł nasz rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz. Rotmistrz Wąsowicz (ur. w r. 1882 w Brzeżanach) wnuk Mikołaja, rannego w szarży Samosierskiej, był jednym z twórców kawalerii Polskich Legionów. Wychowany w tradycji ułańskiej dziarskości — dziadek jego znanym był z tego, że na popisie przed dworcem cesarskim wysadził lancą z siodła pięciu nacierających naraz z szabłami huzarów — od młodości uczył się żołnierskiego rzemiosła. Przeszedł szkołę kadecką w Łobzowie, a potem służył w 13 pułku ułanów do stopnia porucznika. Na pół roku przed wojną wycofał się z armii, by tem goręcej zająć się wzmagającym się ruchem militarnych organizacyi. Jako

jeden z pierwszych wkroczył na czele małego oddziału kawaleryi do Królestwa i zaczął organizować, niezależnie od Beliny, pierwszy szwadron kawaleryi polskiej. Po bitwie pod Kielcami, w której wykazał przyrodzoną zimną krew powołany został do Krakowa, dla formowania kadry kawaleryi, z zamiarem możliwie szybkiego powrotu na plac boju w Królestwie. Losy zrzażyły inaczej. Trudności wynikłe w tworzeniu szwadronów wprost z niczego, opóźniły ich wyjazd z Krakowa, a gdy wreszcie 2-gi szwadron, którego komendę objął Wąsowicz od początku, przekroczył setkę jeźdźców, Legiony, a więc i przyłączony do niej 2-gi i 3-ci szwadron, wyjechały na ziemię węgierską. Był to w życiu poległego jeden z najbardziej gorzkich zawodów.

Szczegółów z jego życia z przed wojny, chcąc uniknąć niedokładności, podawać nie będę; pragnę opisać go takim, jakim go znaleźmy i kochali, jako żołnierza i wodza. Żołnierzem był nasz rotmistrz z krwi i kości. Zewnętrznie podobny do postaci Wołodyjowskiego: drobny, jak tamten, zwinny, odważny tą odwagą spokojnego człowieka, który wogóle z kul nie sobie nie robi. Przeciwnie, prawie, że się lubował w ich gwizdzie: nieraz bez potrzeby szedł do leżącej przed nami linii tyralierskiej, jak n. p. pod Jezupolem, lub wychodził na gęsto ostrzeliwaną szosę jak pod Kirlibabą, ot tak, dla zobaczenia, co się tam dzieje na froncie.

W niespodziewanym, flankowym ogniu, a z takim kawalerya patrolująca lub jadąca w przedniej straży ma prawie zawsze do czynienia, zachowywał zupełny spokój, wydawał komendę, jak na ćwiczeniach i irytował się, gdy spełniano ją inaczej, niż tego uczono na rajtshuli.

Był naszym wodzem, a pełnił służbę żołnierską.

Przy posuwaniu się naprzód, stale w przedniej straży. Tak było pod Horocholiną, pod Hygą, Jaworowem, Tłumaczem i w ostatniej szarży. Przy odwrotach na końcu, jak to było przy pamiętnym odrocie z pod Nadwórnej na drugi dzień po bitwie mołotkowskiej, gdy nasz szwadron, osłaniając odwrót, został dobre dziesięć, albo i więcej kilometrów w tyle za cofającymi się oddziałami. Wytrzymałością na trudy przewyższał nas wszystkich bez wyjątku, bo jeden nie opuścił szwadronu przez całą kampanię a n i r a z u. A szwadron ten topniał chwilami z wycieńczenia ludzi nieraz do rozmiarów plutonu. Tak było n. p. w pięciodniowej bitwie pod Kirlibabą, w czasie której na 100 jeźdźców zaledwie 27 potrafiło przetrzymać do końca styczniowe mrozy i noce, spędzane na śniegu.

Chwilę tę upamiętnił rotmistrz krótkim żołnierskim rozkazem do 2-go szwadronu, wydanym na zdobytej ziemi w Lajosfalva dnia 26 stycznia: „Żołnierze! W walkach dni ostatnich przeszliśmy największe w dotychczasowej kampanii trudy, znieśliśmy najcięższe niedostatki, zwyciężyliśmy głód i zimno. W imieniu służby dziękuję garstce, która pomna, że ostatecznie ten wyjdzie zwycięzcą, kto wytrwa najdłużej, stała przy mnie dzielnie i poświęcenia pełna“. Rozkaz ten rotmistrza powtarzaliśmy sobie w pamięci nieraz, gdy już nie głód i zimno, ale zniechęcenie zaczynało nas opanowywać. Z myślą o nim będzie walczył dalej 2-gi szwadron ułanów.

W stosunkach służbowych opierał się zawsze na jednej i tej samej zasadzie: ułani jego, to ochotnicy, którzy z myślą o Polsce pociągnęli w pole. Dla takich formalny rygor wojskowy zbyt cenny: albo ochotnik będzie pełnił każdą służbę i spełni każdy rozkaz, albo

nie jest godzin liczyć się do szwadronu i może z linii się wycofać. Dzięki tej metodzie szwadron oczyścił się, w stosunkowo krótkim czasie, bo już po bitwie Mołotkowskiej, ze wszystkich mniej wartościowych elementów. Ci, włączając się po szpitalach lub wprost udając bohaterów na brukach miejskich, psuli naszą opinię za frontem. Na linii zostali tylko tacy, do których nigdy nie można było zawołać... „Kto pójdzie na ochotnika?“ — bo rwali się wszyscy. Ostatnia szarża dała najlepszy dowód dobranego przez rotmistrza materiału w ludziach. Pod piekielnym ogniem ani jeden nie wrócił konia.

Kary dyscyplinarne były w szwadronie rzadkością. Pamiętam tylko jeden surowy wyrok, wydany i wykonany na rozkaz komendanta, a podstawą do niego było to, że jeden z naszych młodszych żołnierzy „splamił swym czynem honor polskiego ułańskiego munduru“. Karę wykonano, ale bezpośrednio po niej rotmistrz wziął ułana za głowę i po ojcowsku do ambicyi przemawiał. Chłopak rozplakał się i odtąd życie chętnieby za rotmistrza oddał. W stosunkach pozasłużbowych nie było chyba miłszego zespołu, jak tak zw. menaż oficerska w szwadronie, do której poza oficerami należeli i zwykli prości żołnierze. Dzięki towarzyskiej gładkości rotmistrza wytworzył się ton w szwadronie, który czynił z niego jedną wielką rodzinę. Listy stęsknione tych, którzy z powodu słabego zdrowia musieli nas czasowo opuścić, dałyby najlepsze świadectwo, jak ułani do komendantów swoich szczerze się przywiązywali.

Kochaliśmy rotmistrza, ale i on kochał swój szwadron. Ludzie, źle nam życzący, mówili, że rotmistrz zanadto nas szanuje. Po szarży pod Rokitną zarzuty

te umilkły. Ale z drugiej strony prawdą to było, że rotmistrz niepotrzebnie narażać ludzi nie lubił, i nie chciał. Gdy miał wysłać w wawóz górski patrol z piętnastu ludzi wysyłał pięciu: „Wiem, mawiał, że jeżeli to będzie możliwe, to i tych pięciu dojedzie i meldunek przywiezie, a po co narażać niepotrzebnie dziesięciu więcej“. Oprócz ludzi szanował i konie. Ten pierwszy kawalerzysta może w całej obecnej jeździe polskiej, nauczył nas obchodzić się z koniem. Pod jego wpływem doszliśmy do tego, że nasze wierzchowce chodzą, luzem puszczone, jak psy za ułanami. Postać rotmistrza w siodle na „Arpadzie“ lub na „Hochli“ zostanie nam zawsze w pamięci.

Ułański rotmistrz marzył przez całą wojnę o jednym — o szarży kawaleryjskiej. Trzy razy już do niej nas prowadził, ale w żadnej do starcia ręcznego nie doszło. Aż doczekał się dnia 13 czerwca. Jadąc na przodzie zdawał sobie sprawę z tego, dokąd prowadzi szwadron. Z okrzykiem: „Niema przeszkód dla polskiej kawaleryi! Naprzód dzieci!“ pojechał na czele wiernej mu zawsze garstki. Padł z szablą w rękę taką bohaterską śmiercią, o jaką każdy z nas ułanów tylko się modlić potrafi. Ci, co go mijali, widzieli, jak leżąc już na ziemi koło zabitej pod nim Hochli, dawał znać ręką, że żegna szwadron i nakazuje, by pędzili dalej.

Na drugi dzień po szarży przyszła oficjalna nominacja jego na komendanta II-go dywizyonu (2 i 3 szwadronu) kawaleryi polskiej. Godność tę piastował siłą rzeczy od pięciu już miesięcy. Może być, że za jakiś czas przyjdą i odznaczenia.¹⁾ Podawany był do nich trzy razy przez różne komendy oddziałów, do

¹⁾ W grudniu 1915 c. i k. Komenda Armii przyznała mu krzyż zasługi III klasy z dekoracją wojenną.

których szwadron kolejno był przydzielany, lecz za życia żadnego się nie doczekał. Ciało jego przewieźliśmy z Besarabii na ziemię bukowińską. Na wiejskim cmentarzu w Rarańczach leży jego mogiła na czele czterestu innych wiernych towarzyszków broni.

Cześć ci, bohaterski rotmistrzu polskich ułanów!

* * *

Gdy w szarży pod Rokitną padł pod rotmistrzem Wąsowiczem koń, na czoło szwadronu wysunęli się dwaj obecni oficerowie: Włodek i Topór. W kilka sekund później i ci dwaj leżeli przesyrci kilkoma naraz kulami przy zabitych wierzchowcach.

Ś. p. Roman Prawdzie-Włodek, to jedna z odrębnych a pełnych uroku postaci naszych Legionów. Ostatni potomek starodawnej polskiej rodziny, urodzony w Ks. Poznańskim, wychowany w Królestwie, zamieszkały w Galicyi, a w końcu osiadły w majątku, wspólnie nabytym z przyjacielem lat młodych Stanisławem Sokołowskim w Jekłowcach na Węgrzech, złączył w swej osobie cechy polskiego szlachcica w dziwnej harmonii z cechami wykwińskiego powieściowego internacyońca, który równie dobrze czuje się w Krakowie, Warszawie, Paryżu czy Londynie. Niedawno jeszcze znany we Lwowie, jako śliczny młodzieniec, w którym panny na zabój się kochały, w chwili wybuchu wojny już trochę poważniejszy, a może trochę jako porucznik powagę udający, o zawsze pogodnie uśmiechniętych oczach, które patrzyły na świat wesoło, przyjaźnie, ale i ze szczyptą ironii. W szwadronie nazywaliśmy go „arbitrem elegantiarum“, bo sam wykwiński, lubił i oceniać umiał wykwiński w około siebie. Inteligentny, bystry, czytany jak literat był przedewszystkiem artystą życiowym. Bo

życie ułożył sobie tak, że płynęło mu i ładnie i pogodnie i trochę fantastycznie, a nie bez pożytku dla innych.

Po studiach gimnazjalnych skończył prawo i pełnił jakiś czas urząd sędziego we Lwowie. Ci, co go znali z tych czasów, opowiadali nam, że bystrością i trafnością sądów w sprawach nieraz bardzo zawiłych uzyskał sobie w krótkim czasie taką opinię, że śmiało mógł liczyć na szybki awans. Sam nie przywiązywał większej wagi do ówczesnego zajęcia, jak zresztą nieraz obniżał w naszych oczach znane i uznane już zasługi własne. O zawodzie tym mówił nam z wesołością, że sprawował go tylko dlatego, by mógł powiedzieć filistrom, że był „czemś“ i że życia darmo nie tracił. W dziesięcioletnim jego urzędowaniu przerw było kilka. A więc odbył w tym czasie służbę wojskową w artylerii konnej i dosłużył się stopnia podporucznika. Skoro skończył wojsko i znów wrócił do fotelu sędziowskiego wybuchła wojna boerska. Nie wiele myśląc, wybrał się pewnego poranku bez niczyjej wiedzy — ot tak z polską fantazją — w podróż do Afryki dla wstąpienia w szeregi armii boerskiej. Fundusze, jakie miał chwilowo przy sobie, starczyły mu zaledwie na drogę do Holandyi, a gdy nie trafił na żaden okręt, jadący do Kaplandu, przeprowił się za cenę ostatnich guldenów do Anglii, gdzie żył z pół roku, jako bezdomny i niezawsze syty dobrowolny emigrant. Skoro włączęła ta dostarczyła mu już dosyć wrażeń, napisał do rodziny i z jej pomocą niebawem wdział znów mundur sędziego śledczego we Lwowie.

Po złożeniu urzędu zajął się interesami rodziny, w których wykazał tyle obrotności, że prowadząc je dłużej, byłby, jak wokoło twierdzono, doszedł do du-

zego majątku. Za nisko jednak cenił pieniądź, by mu się chciało go zdobywać; wolał osiąść na roli wśród słowiańskiego ludu na Węgrzech i równocześnie zaopiekować się dwojgiem sierót, które zostały po śmierci jego siostry.

Na pierwszą wiadomość o tworzeniu się Legionów pospieszył odrazu do Krakowa i zaciągnął się do kawaleryi, nie żądając nawet żadnych praw dla siebie, jakie mu jako wyszkolonemu oficerowi przysługiwały. Gotów był pełnić służbę i prostego żołnierza, z ofiarności swej nie robiąc żadnej reklamy. Poszedł do Legionów — jak sam mówił — tylko dlatego, bo uważał, że każdy Polak pójść powinien, i to bez dyskusyi nad tem, czy Legiony mają, czy nie mają racyi bytu. Przez takie branie rzeczy złożył dowód poczucia karności narodowej, co tembardziej w nim cenić należało, że do innej karności pociągu nie miał.

W służbie Legionów wykazał odrazu zdolności na komendanta, a to z okazji patrolu, wysłanego w miechowskie po zakupno koni dla szwadronu. Patrol ten, złożony z 15 ułanów-nowicyuszów, objechał okolice, zajęte już przez poważne siły kawaleryi rosyjskiej przedniej straży całej armii, ciągnącej wówczas pod Kraków. Ze spokojem, choć i z werwą ułańską, wykręcał się z rąk patroli kozackich i pomimo śmiałości przedsięwzięcia, przyprowadził oddział wraz z kupionymi końmi cało do Krakowa.

Pod Cucyłowem prowadził czwarty pluton, zwany „plutonem wujów“, który najwięcej szkód moskałom wówczas narobił. Przy cofaniu się ze wsi zwałił się z rannym koniem pod morderezym ogniem, ale dzięki pomocy artysty-malarza Szczyglińskiego, wyszedł z tej opresyi bez szwanku.

Ciężkie dni pod Kirlibabą wytrzymał prawie do końca. Przeziębwszy się wreszcie w nocy, spędzonej na śniegu przy 20 stop. mrozu, musiał wyjechać do Wiednia na kurację. W powrotnej drodze był już w Piotrkowie, gdzie miał widoki na rychły awans. Nie chciał jednak pozostać zdala od 2-go szwadronu. Wrócił do nas z całą świadomością tego, że nie jedzie na wygody, lecz na ciężkie nieraz chwile zniechęcenia i niełatwe walki. Powitany szczerą radością kolegów i żołnierzy, z których kilku okres rekonwalescencji z chorób i ran spędziło w Jeklowcach, przebył z nami całą ostatnią ofensywę na Bukowinie. Przez kilka dni w zastępstwie rotmistrza był komendantem dywizyonu i pod jego to dowództwem zajęła i utrzymała nasza kawalerya w brawurowym nocnym pochodzie linię obronną rosyjską pod Studnianką.

W szarży pod Rokitną jechał tuż za rotmistrem i po jego upadku prowadził szwadron. Padł, trafiony śmiertelnie w usta.

Przyjaciółom jego, których miał tylu, trudno oswoić się z myślą, że ten pogodny filozof życiowy, ten zawsze wesół i dowcipny towarzysz więcej do nas nie wróci, że nie będzie nam już więcej rozweselał tej strasznej nudy walk pozycyjnych i że nie będzie bronił swoich historyzoficznych poglądów na przeszłość i przyszłość Polski.

Zginął śmiercią piękną, bo ułańską w szarży. Zginął z nim jeden z nielicznych typów szlacheica-żołnierza o wysokiej kulturze, a o złotem sercu.

Ostatni z rzędu komendant atakującego szwadronu padł już za trzecim okopem por. Jerzy Topór-Kisielnicki. Jeżeli Włodka nazywaliśmy arbitrem

elegantiarum, to Topora nazwaćby można było naszym Kmicicem. Rosły, barczysty, zgrabnie zbudowany, a zawsze, jak na ułańskiego oficera przystoi, „sznitowo“ ubrany, porucznik stał się od chwili wstąpienia do szwadronu najbardziej popularną i kochaną osobistością. Główną cechą jego charakteru była młodzieńcza bujność, której nie zatracił nigdy — aż do śmierci.

Urodzony w r. 1878 w Lubelskiem, odbył studia gimnazjalne w Chyrowie, z których musiał zachować dobre wspomnienie, jeśli w czasie ostatniego pobytu w Kołomyi odwiedzał znanych mu z tych czasów i byłych swych przełożonych OO. Jezuitów. Po maturze wstąpił na politechnikę we Lwowie, a w życiu akademickim umiał połączyć wesołość i dziarskość młodości z pracą, gdyż, nie tracąc ani roku, skończył studia jako dyplomowany inżynier. Jako fachowiec podejmował się najrozmaitszych przedsięwzięć, a z każdego z nich umiał się doskonale wywiązać. I tak budował wodociągi, zbiorniki, uskuteczniał melioracje pól i torfowisk, ozdobił gmach „Gafoty“ we Lwowie, a wszystko, co robił, robił z werwą nie inżyniera, ale przyszłego ułana.

Miał chwilę w życiu, w której kraj wydał mu się za ciasny dla wrodzonej mu ekspansywności. Wybrał się w podróż do Ameryki. Tam miał się znów różnych przedsięwzięć, będąc raz na wozie, drugi raz pod wozem, ale nie tracąc nigdy energii życiowej; zdołał ją nawet pomnożyć i coraz lepiej wykorzystywać. O ile mi wiadomo, w ciągu dwuletniego pobytu tam ożenił się; jak głęboko przywiązany był do ogniska domowego, dowodzi fakt, że przez całą wojnę żył jedną myślą: dojechania do żony w odzyskanym Lwowie.

W ostatnich latach wstąpił do lwowskiego konnego Sokoła i był jednym z tych dziesięciu pierwszych uła-

nów, których Lwów zegnał z końcem lipca na wyjeździe do Królestwa. Ten mały „szwadron“ lwowskich ułanów przyjechał wówczas pod komendą Rylskiego i Śniadowskiego do Krakowa, z siodłami i bronią, ale bez koni. Dorożką krakowską przejechali granicę rosyjską, jako jedni z pierwszych Legionistów i uzyskali w darze już na terenie Królestwa od tamtejszego obywatelstwa pierwsze wierzchowce.

Trzeba było słuchać tego, jak Topór opowiadał dzieje plutonu jazdy polskiej. Te utarczki z kozakami, te waryacko odważne patrole, te buńczuczne zapędy, w dziesięciu na całe sotnie, te tryumfy zwycięskiego pochodu naprzód i ta radosna wiara, że chwila osobliwa już nadeszła.

W czasie bitwy pod Kielcami szrapnel rosyjski ubił mu wierzchowca. Towarzysze sądzili, że i on sam zginął i z tą wieścią do reszty wojska, z szarży na pułk kawaleryi rosyjskiej wrócili. Po tygodniu na rynku w Jędrzejowie zjawił się Topór żywy i cały. Radość była powszechna. Okazało się, że te dwa dni chwilowej utraty Kielc z naszych rąk, Topór przeżył na rusztowaniu kościelnym bez jedzenia — a jak sam mówił — gorzej, bo bez papierosa. Ledwo już żywy doczekał się powrotu patroli austriackich i powrócił do oddziału.

Odkomenderowany do nowo tworzących się w Krakowie szwadronów, przyjechał z rotmistrzem Wąsowiczem do Przegorzał. Znalazł jeszcze dość czasu, by dojechać do Lwowa, pożegnać po raz wtóry żonę i ostatnim pociągami, jaki stamtąd we wrześniu odszedł, wrócić do Krakowa. W drugim szwadronie objął komendę w randze najprzód chorążego, później podporucznika plutonu 3-go. Pluton ten składał się z samej prawie inteligencji, częścią z uniwersytetów szwajcar-

skich, częścią z krakowskich rolników. Zawadyaki to były, choć uczone, dziarskie zuchy i gotowe na wszystko, te ułani z 3-go plutonu. Nie mogli być zresztą innymi, mając Topora za komendanta.

Jeśli cały szwadron 2-gi tworzył rodzinę, to pluton 3-ci był w nim rodzeństwem. Topór żył z żołnierzami, jak z braćmi, znał ich życie prywatne, umiał każdemu pomódz, gdy tego zaszła potrzeba, dbał o nich więcej niż o siebie i był tak z nimi nierozdzielny, że to aż weszło na kwaterach w przysłowie. Na pytanie, „gdzie Topór?” można było zawsze z całą pewnością odpowiedzieć: „w trzecim plutonie!”

Po przejściu Pantyr-passu poprowadził jeden z trzech pierwszych patroli do Delatyna. Już sam ten patrol był kunsztykiem. Ułani musieli zostawić konie i 20 klm. brnąć przez dzikie ostepy górskie na przełaj przez lasy dla zasięgnięcia języka o rozkładzie sił nieprzyjacielskich. Pod Cucyłowem rzucił się z furją na kozaków i z 5-cioma ułanami odparł w tyraljerze z karabinem w rękę szarżę sotni kozackiej, zachodzącej nam tyły.

Pamiętamy go dalej w potyczce pod Hygą gdy, rozsypując nas w tyraljerę w oczekiwaniu na ciągnącą na nas czarną masę kozactwa, komenderował, jak na ćwiczeniach: „wolno strzelać, ale celnie; szanować amunicję; spokojnie chłopcy, spokojnie...” Przy odwróceniu z pod Mołotkowa, chory z 40 stopniową prawie gorączką, zrywa się z łóżka w Pasicznej, kieruje paleniem mostów, a przy ostatnim czeka z dwoma ułanami na powrót 2-go szwadronu, nie zważając na to, że wieś już opuszczona, a lasy z dwóch stron zajęte przez patrole kozackie.

Żelazne jego zdrowie przetrzymało ten wysiłek.

Gorzej było pod Kirlibabą. Równie chory i z równą gorączką nie chce przez trzy dni opuścić marznących w tej strasznej styczniowej bitwie żołnierzy. Czwartego dnia wreszcie już prawie nieprzytomny z zapaleniem płuc odbywa 70 kilometrową drogę do Moissina konno. W Moissinie utworzono wtedy rodzaj kadry naszego szwadronu; tam gromadziły się chore konie i przemęczeni lub mniej chorzy ludzie. Nie zupełnie jeszcze zdrow obejmuje komendę nad tą stacją etapową. Przez kilka tygodni ekwipuje, ćwiczy i do służby w polu wprawia nowo przyjętych z piechoty i rekrutów, a oddaje się temu z takim zapałem i z tak niestrudzoną energią, że słusznie zasłużył sobie na serdeczną wdzięczność rotmistrza i całego szwadronu. Ci, co z nim razem tam byli, wiedzą, ile nerwów kosztowało go to długie siedzenie za frontem. Dla jego natury żołnierskiej była to cięższa próba karności, niż trwania w najgorszym ogniu.

W lutym wysłał z Moissin na linię jeden pluton, a z początkiem marca rusza z całą kadrą do Kołomyi dla połączenia się z jadącym na odpoczynek szwadronem. Wtedy dopiero okazało się, ile to uratowanych koni zawdzięczamy opiece Topora. W walkach wiosennych bierze czynny udział w wycieczce nocnej na Bojan i zachowuje zimną krew w straszliwym ogniu dwóch karabinów maszynowych. W początku maja obejmuje komendę całego szwadronu z chwilą, gdy rotmistrz nasz objął faktyczne dowództwo dywizyonu, t. zn. 2 i 3 szwadronu.

W czasie naszych walk w okopach nad Dobronowcami nie kładł się Topór przez pięć dni wcale. Nerwowy z natury, siłą nerwów trzymał się wśród tych nieustannych strzelanin. Po odwróceniu dokonany za Prut,

w czasie którego wesołością swoją i „Toporówką“ podtrzymywał ducha u żołnierzy, prowadzi ryzykowny patrol pod Mamajestie i przywozi dokładne meldunki o rozkładzie sił i pozycjach artylerii nieprzyjacielskich.

Przyszł dzień wielkiej szarży 13-go czerwca. Na długo przedtem tłumaczył nam Topór swoją teorię o feralnej trzynastce.

Wiemy jednak, że myśleć o tem nie mógł, gdy koń jego brał już pęd do ataku. Krzyknął wtedy gromko: „Polscy ułani za mną!“ i prowadził ich poprzez trzy okopy. „Ocean“, gniady wierzchowiec jego, a najwyższy koń w szwadronie padł tuż za przerwą trzeciego rowu. Topór wstał jeszcze, bronił się szablą i rewolwerem przed Moskalami, którzy szli od lewego skrzydła na bagnety. Padł przeszyty kilkunastoma kulami.

Leżał twarzą do nieba, piękny, jak za życia, w majestacie śmierci, a wokół niego spali snem wiecznym ułani 3-go plutonu.

Na drugi dzień po szarży przyszła wiadomość o nominacji jego na porucznika; w dziesięć dni potem Lwów, do którego się tak rwał, był wolny.

Nie pojedziesz, polski rycerzyku, do swej rodziny, nie poprowadzisz już twych zuchów do boju; ale bądź spokojny, pamięć o tobie nie zaginie; bo jak długo ułani polscy szable nosić będą, tak długo będzie żył w legendzie Topór-Kisielnicki*).

* * *

O poległych podoficerach i ułanach mogę z braku wiadomości podać tylko krótkie notatki.

A więc w pierwszym rzędzie ś. p. Tadeusz

*) Równocześnie z Rotmistrzem odznaczeni zostali w grudniu 1915 r. Włodek i Topór krzyżami zasługi.

A d a m s k i, wachmistrz szwadronowy, a przedtem komendant plutonu kawalerii przy III pułku — to postać młodzieńcza o kryształowym wprost charakterze. Ukończony prawnik, od niedawna osiadły na roli we wschodniej Galicyi, nosił w sobie zasoby takiej energii życiowej przy wielkiej prawości charakteru i gorącym umiłowaniu sprawy polskiej, że z pewnością zająłby kiedyś w kraju wybitne stanowisko w pracy obywatelskiej. To też śmierć jego, to nie strata dla jednego szwadronu, to poważna strata dla całego kraju.

Ś. p. wachmistrz W ł. N o w a k o w s k i, syn ziemi kieleckiej, a urzędnik cukrowni w Śreniawie, to cichy, skromny pracownik, nie myślący nigdy o sobie, a zawsze o drugich — to typ człowieka, który tak, jak w gospodarce wewnętrzno-szwadronowej, tak też i w życiu cywilnem stałby się siłą, na którąby zawsze można było liczyć, że każde poruczone mu zadanie wypełni do ostatka, bez zwracania na siebie niczyjej uwagi, a lepiej od innych. Żołnierz dzielny, jechał do szarży na ochotnika, choć jako szwadronowy podoficer rachunkowy, był od brania w niej udziału zupełnie zwolniony.

Kapral K a r o l K a r a s i ń s k i — to ułan, który wraz ze swym bratem ś. p. Cypryanem, o którego śmierci dowiedzieliśmy się, wracając ze szarży z gazet, powinien przejść do legionowej legendy. Ci dwaj jasnowłosi bracia junacy pełnili u nas zawsze najniebezpieczniejszą służbę na patrolach. „Bracia Karasińscy na szpice“, to komenda stale powtarzająca się w szwadronie. Cypryan o słabem zdrowiu nie przetrzymał zimowej kampanii. Zapadł w styczniu na płuca i teraz niedawno życie zakończył. Karol, wychodzący ze wszystkich ogni dotąd szczęśliwie, padł w szarży w chwili, gdy atakował poddających się w rowie Mo-

skali. Oszczędzoną mu została wiadomość o śmierci brata. Spotkali się oni tam w górze.

Ś. p. Władysław Tworkowski, ukończony akademik, był postacią znaną w kołach młodzieży genewskiej. Cichy, skromny, wprost bezczelnie odważny i nietracący w najgorszych chwilach zimnej krwi i zwykłej powolności w ruchach, podpora rodziny, która na ołtarzu Ojczyzny złożyła już życie drugiego syna w bitwie pod Mołotkowem, odszedł od nas, zostawiając wspomnienie prawej, młodzieńczej duszy i żal głęboki przyjaciół.

Ś. p. Wincenty Rawski, a właściwie Tadeusz Starczewski, Wołyniak z urodzenia, absolwent Uniwersytetu krakowskiego, literat i trochę filozof, to też jeden ze starej gwardyi legionowej. Ranny w okopach pod Dubronowcami w głowę, z białą opaską na czole jeździł na patrolu, jak dawniej. Jeszcze rana ta nie zagoiła się, gdy zginął od szrapnela. Śmierć mu widać w tej wojnie była pisana.

Ś. p. Bronisław Łuszczewski — zwany u nas Bronką dla swej dziewczęcej twarzyczki — wstąpił do szwadronu w Krakowie, uciekając z domu, nawet bez wiedzy ojca, który już wcześniej wyruszył w pole do Beliny. Pomimo wątłego zdrowia przetrwał całą zimową kampanię w Karpatach; gdy ojciec jego przybył z bratem do naszego szwadronu, jeździł pod jego komendą na bardzo trudne patrole za Prut i jak zwykle, wykazywał wiele przytomności i odwagi.

W parę miesięcy później, bo aż w grudniu doszły nas wieści o losie dwóch rannych ułanów zabranych w niewolę. Oto jeden z nich wachmistrz Jagrym mianowany przez Komendę Legionów na kilka dni przed szarżą chorążym — powrócił do Wiednia jako wymie-

niony jeńiec- inwalida — niestety o kulach, gdyż lewą nogę musiano mu amputować.

Przywiózł on wiadomość o śmierci Sierhiejewicza, zaszedł w szpitalu w Czerkasach po ciężkiej operacji.

Ś. p. Władysław Ścibor Sierhiejewicz pochodził ze starej ziemiańskiej rodziny, osiadłej w pow. Jędrzejowskim, gub. Kieleckiej. Dziad jego, Komisarz Rządu Narodowego w 63 r., aresztowany, przebył rok w więzieniu kieleckim i skazany później na śmierć uniknął jej dzięki znacznej kontrybucyi, opłaconej z posiadanych majątków.

Ojciec jego, Feliks, wiedziony zamiłowaniem do służby żołnierskiej wstąpił do szkoły junkierskiej w Twerze i służył jakiś czas w 14 pułku ułanów rosyjskich. Nie mogąc jednak znieść obcej służby przeniósł się do Krakowa. Tam też urodził się w r. 1884 ś. p. Władysław. Jako jedyny syn otrzymał staranne wychowanie, odbył studia prawnicze i handlowe i rozpoczął już pracę w świeżo otwartej fabryce cementu w Górcie koło Trzebini. Zdolnościami i rzutkością byłby pewno położył nie małe zasługi koło rozwoju rodzinnego przemysłu. Przyszła wojna. Na hasło rzucone przez N. K. N. wstąpił do Legionów i poczuł się wnet całą duszą żołnierzem. Pomimo wątłej budowy wytrzymał bez przerwy ciężkie walki w Karpatach, odznaczył się w wiosennej ofensywie bukowińskiej, a humorem i wesołością zdobył sobie serdeczną przyjaźń kolegów. To, co groziło dziadowi jego — nie ominęło wnuka: poniósł śmierć za Ojczyznę.

W szpitalu również zmarł z ran odniesionych w tej szarży Józef Janiszyn. Syn wieśniaka przeby-

wał dłuższy czas na „Saksach“. W powrocie do domu z tej wędrowki już w czasie wojny, przejeżdżając przez Kraków ujrzał ogłoszenia o tworzących się Legionach. Bez namysłu przerwał podróż i zaciągnął się na ochotnika. W szwadronie znany był z przywiązania do swej klaczy „Hanki“. Ranny był z nią równocześnie na patrolu pod Lenkowcami, a po powrocie ze szpitala drugi raz — lecz już śmiertelnie ranni byli oboje pod Rokitną. Czerniowiecki cmentarz kryje zwłoki męzkiego chłopskiego syna — polskiego Legionisty.

O życiu innych poległych możemy mało tylko napisać, bo znaleźmy ich tylko jako żołnierzy.

Ś. p. Eugeniusz Potok-Lada był słuchaczem Akademii w Liège. Kampanię karpacką odbył, jako żołnierz II-go pułku piechoty Legionów. Służbę szeregowca pełnił nie szukając rozgłosu, nie dążąc do awansów. Czas pobytu w okopach wyzyskał do kształcenia się dalszego w filozofii i ten jeden szczegół określa dostatecznie jego spokojną, myślącą naturę.

Ś. p. Michał Majda był rodem z Chrobrza w ziemi kieleckiej, gdzie służył jako chłopak w stajni wyścigowej hr. Wielopolskiego. Krwią własną dowiódł, że się czuł Polakiem.

Ś. p. Mikołaj Szysz był z zawodu rzeźnikiem ze Lwowa. Służąc z początku w piechocie odznaczył się kilkakrotnie na patrolach.

Ś. p. Bolesław Kubik, siedemnastoletni ułan o twarzy dziecka pochodził o ile mi wiadomo z Kieleckiego. W wilię szarży odznaczył się na patrolu pod Rokitną.

Ś. p. Jerzy Rakowski i Antoni Zwaczka dali się poznać szczególnie w czasie bitew nad Dniestrem jako dzielni wywiadowcy.

Tak więc nie przypadek zrządził, że wszyscy oni zginęli w tej szarży. Znając ich tylokrotnie wykazaną odwagę w ciągu długich miesięcy służby, łatwo było przewidzieć, że i w chwili ataku wysuną się naprzód i ściągną na siebie tem gęstszy ogień.

Chwała ich pamięci!

NASZE SZWADRONOWE KONIE.

Ułan to nie żołnierz, to żołnierz na koniu. Razem dzielą oni wszystkie trudy wojny, razem jadą pod kule i, jeżeli szczęście służy — razem z pod nich cało powracają. To też pisząc o ułańskich bojach muszę dłuższą chwilę wspomnień koniom poświęcić. Szwadron nasz, tak jak każdy inny, choć nie wszyscy o tem wiedzą, tworzył już z daleka widziany pewną określoną całość, po której można go było wśród dziesięciu innych łatwo rozpoznać. Gdy ułan nasz powracał z mel-dunkiem, czy z patrolu i z dala ujrzał oddział kawalerii: dwa gniade konie na przedzie, jeden siwy w pierwszym plutonie, bułany w drugim, czwórka karych w trzecim i siwy koń doktora na końcu, to przyspieszał tempa; choć twarzy ni mundurów rozeznąć jeszcze nie mógł, wnet poznał, że to jego wędrowny dom rodzinny — drugi szwadron jedzie.

Dwa przednie oficerskie gniade konie to „Arpad“ lub „Hochla“ Rotmistrza i „Ocean“ Topora.

„Arpad“ ogier miary siedmnej, szlachtetnej budowy, znany sportsmenom z krakowskich wyścigów, był na to stworzony, by chodzić pod siodłem dowódcy.

A nie każdy koń szwadron prowadzić potrafi. Trzeba mieć na to krok równy, nie za wielki i nie za drobny a spokojny, by nie mięszać w tyle jadących szyków, trzeba umieć łeb nosić z fantazją, a samą postawą i ruchami zaznaczyć przed ludźmi, że to nie byle kto, że to sam pan rotmistrz jedzie. „Arpad“ takim właśnie umiał się okazać. Pamiętamy go wszyscy, jak

po bitwie cucyłowskiej wyjechał na wzgórek, by przyrzeć się stamtąd defiladzie ułanów. Nadał sobie wówczas dumną postać, łeb zadarł do góry i widać odczuł radość ze zwycięstwa, gdyż wiedziony instynktem w odpowiedzi na gromkie „Hurra“, zarżał wówczas rozgłośnie.

Jak dalece własną ambicyą umiał ludzi zasuggerować dowodzi zabawny epizod ze Śniatyna. Otóż w parę dni po zdobyciu tego miasta przybył tam, podążając za szwadronem, pluton uzupełniający pod wodzą wachmistrza. Zdarzyło się, że w parę godzin później wjechał do miasta jeden z naszych ułanów, zresztą chłopak nie brzydki i ładnie się noszący, na „Arpadzie“. Żydki miasteczkowe zadziwione pięknoscją konia wnet rozgłosili, że to „Rittmeister od polskich Legionów“ zamieszkał na plebanii. Doszła ta wiadomość do uszów wachmistrza, więc porwał się i poszedł co prędzej służbowo się zameldować; tam dopiero ze zdziwieniem przekonał się, że to nie prawdziwy rotmistrz, tylko koń jego kwateruje w mieście.

Ciężka górską kampania zimowa okazała się dla tak szlachtetnego zwierzęcia jak „Arpad“ zbyt wyężdżająca. Toteż Rotmistrz dobrał sobie gniadą klacz „Hochlę“ i na niej odbył już wszystkie późniejsze marsze i bitwy. „Hochla“ pochodziła z Pilicy w ziemi kieleckiej i o ile mi wiadomo, chodziła za młodu pod damskim siodłem. Ujeżdżona była świetnie, bardzo szlachtetna w kształtach z białą gwiazdką na czole, i małą pończoszką na lewej przedniej nodze, dziwnie dobrze wytrzymała trudy wojenne. Osobistą odwagę wykazała pod Cucyłowem, gdy nam wyprowadziła z pod gęstego ognia karabinów i szrapneli 11 luzem puszczonego koni z powrotem do wsi, gdzie je można

było połapać i od kul ochronić. Huku armat nie bała się nigdy, co o tyle było dziwnem, że z przyrodzenia miała raczej wrażliwą i czułą niewieścią naturę. — W szwadronie znaną była powszechnie historia jej uczuciowych dramatów. Najdawniejszą jej przyjaciółką i stałą towarzyszką na kwaterach była niewielka, ale zgrabna jak sarna, szpaczka „Baśka“ Chwalibogowa. Przeniesiona z plutonu do stajni koni oficerskich rozłączenie z przyjaciółką prawie, że odechorowała. Przez pamięć dla niej zaprzyjaźniła się potem z „Siwką“, na której jeździł stały ordynans rotmistrza. Ponieważ biała jej barwa ściągnęła jednak nieraz ogień nieprzyjacielski na miejsce, w którym stały konie oficerskie, więc ułan musiał konia odmienić. Był to drugi z rzędu dramat dla „Hochli“. Przez dwa dni stała nad pełnym żłobem nic nie jedząc i ciąglem rżeniem dawała upust swej żalości. Dopiero pod wpływem towarzysztwa stajennego z „Arpadem“ zdążyła zapomnieć o swej dawnej przyjaciółce. Wojna jednak to okres czasu nie dobry dla uczuć długotrwałych. Ludzie nasi uczą się tego z piosnki o niestałości ułańskiej, biedna „Hochla“ o tem nie wiedziała. W czasie długich marszów nad Dniestrem „Arpad“ zakulał i trzeba go było odesłać po za front. Było to w dniu bitwy pod Gruszką. Rotmistrz otrzymał wówczas rozkaz prowadzenia szwadronu możliwie niespostrzeżenie na flankę nieprzyjacielską. Może pod wpływem zdenerwowania, bo konie czują zbliżającą się bitwę, tak samo jak ludzie, „Hochlę“ zirytował brak „Arpada“ w szeregu i rozpoczęła przeraźliwie rżać. Nie pomogło ani ściągnięcie cugłami, ani ostrogi, ani trzcina, bo coraz głośniejsze rżenie rozchodziło się na milę wokoło; pomimo panującego mrozu i śniegu skóra jej pokryła się białą pianą a rozpaczliwe wołanie

nie miało końca. Gdy wreszcie Rotmistrz spostrzegł, że to jej zdenerwowanie zaczyna udzielać się powoli całemu oddziałowi przesiadł się na innego konia, a swoją klacz dalej za linię odesłał. „Hochla“ zginęła równocześnie ze swym panem w szarży pod Rokitną. Dziecięć kul karabinu maszynowego przebiło jej dzielną pierś w chwili, gdy miała przeskoczyć trzeci rów strzelecki.

Trzeba przyznać, że i „Arpad“ godnym okazał się jej przyjaźni. Gdy na drugi dzień przyniesiono do jego stajni zakrwawioną derkę i siodło „Hochli“, długo nie mógł się uspokoić, strzygł uszami, nasrazał chrapy, grzebał nogą i rżał przeciągle.

Równocześnie z „Hochlą“ zginął wówczas koń por. Topora, „Ocean“. Ten gniady wałach, o silnej, rostej budowie, krótko kurtyzowanym ogonie przybył do szwadronu w Przegorzałach z czterema innymi końmi równie wyniosłego wzrostu. Z czwórki tej towarzyszy żaden już nie żyje. Jeden złamał nogę i trzeba go było dostrzelić, drugi zginął pod Cucyłowem, trzeci kasztanowaty „Drań“ nazwany tak z powodu złośliwego temperamentu, na którym jeździł jakiś czas Włodek, uduślił się w stajni w Moissinie na kantarze stajennej. Dotąd nie wiemy, czy chciał się wyrwać i przewróciwszy się nie mógł już powstać, czy też dostał kolek i zginął wskutek kurczów; jeden „Ocean“ przetrzymał w zdrowiu prawie cały rok wojny, tak, że Topór ani razu innego konia dosiąć nie był zmuszony.

Stałym jego towarzyszem z kwater był zupełnie do niego podobny, tylko niższy wzrostem gniady „Web“ patrolowego Szczepana. Typowy polski koń, o silnie związanej budowie, odznaczył się tem, że przez całą wojnę nie zachorował ani razu i że dotąd nosi tego

samego ułana, który na nim z Krakowa wyjechał. Z szarzy Rokitniańskiej wrócił jako jeden z 6-ciu niekniętych kulami koni, choć przesadził wszystkie cztery okopy, a jeździec jego otrzymał kontuzye. Szanując tę tradycję przełożeni nie odbierają patrolowemu jego konia, pomimo to, że będąc obecnie jednym z najlepszych w szwadronie kwalifikowałby się śmiało pod siodło oficerskie. A umie chodzić i pod damskim siodłem, o czem przekonaliśmy się kolejno na kwaterach w Korniczu z okazji odwiedzin naszej doktorki — porucznika panny W.

Pod Rokitną zginął też pod Włodkiem delikatny gniady „Erivan“. Pochodził on ze stajni ministra Długosza, odznaczał się wspaniałym wzrostem, ląbedzim ruchem szyi, z fantazyą noszonym długim ogonem, a w kłusie mało który ze znanych mi koni mógłby z nim iść w zawody. Na pozór nie obiecywał on wiele na wojnie, gdyż był zanadto wielkim paradyrem, co w ludzkim tłumaczeniu zowie się salonowcem, a przecie dowiódł nam, że i przy tych pozorach można nie jeden trud i nie jedną biedę wytrzymać. To też stratę jego odczuliśmy tem dotkliwiej.

Ulubieńcem całego szwadronu jest siwy arabezyk „Selim“. Krakowianie mogą go pamiętać, gdyż występował na czele wszystkich pochodów narodowych przed wojną, jako reprezentant konnego Sokola. Łagodny jak dziecko, nosi się z pańską fantazyą, bierze bez wahania najszersze rowy, a na defiladach ciągnie wprost oczy swym wspaniałym wyglądem. Pod Cucyłowem dostał pod Włodkiem postrzał w szyję, zwałił się wskutek tego do rowu, lecz wnet się zerwał i jeźdźca z pod kul jeszcze wyniósł. Rana zagoiła się prędko, lecz z pozostałej blizny „Selim“ dotąd jeszcze jest dumny. Po-

nieważ barwa jego zanadto odbijała od terenu, więc nasi malarze szwadronowi postanowili go przemalować na kasztana. W Nadwórnej zakupili miksturę nadmanganianu potasowego i pod wodzą znanego skądinąd malarza końskiego Świrysza zabrali się przy świecy do tej operacji. Dzieło to było najmniej udane z jego malowanych koni. „Selim“ wyszedł z rąk malarzy nawpół żółty, nawpół biały, pokreślony cały jak zebra i srodze z tej nowej sukni niezadowolony. Całe szczęście, że późniejsze słoty i śniegi przywróciły mu po okresie płowienia dawną lśniąca białość. Przez długi czas jeździł potem na nim nasz doktor szwadronowy Bujalski i był, choćby już z tego względu, w całej Brygadzie bardzo popularnym.

Artysta malarz K. Żelechowski jeździł na siwym „Kasprze“, słusznie tak nazwanym, artysta dramatyczny Kosiński na gniadym „Kubie“, który biedak zdechł nam, zdaje się z przejedzenia, w Kołomyi.

Pewną sławą w szwadronie cieszy się brudna kasztanka „Vera“. Pochodzi ona ze stajni hr. Skarbka i przyszła ze Wschodnim Legionem do Zakopanego. Po nieszczęsnem rozwiązaniu się szwadronów lwowskich, nabył ją dla nas Świrysz i na niej odbył całą początkową kampanię. Gdy na patrolu między Zieloną a Pasiczną Świrysz dostał kulą w pierś i w rękę, „Vera“ wyniosła go z pod ognia. Za chwilę padać zaczęły na szosę, którą jechaliśmy, rosyjskie szrapnele i granaty, konie ruszyły galopa a przez to rozdzieliły ułanów podtrzymujących rannego. Świrysz stracił przytomność i tylko siłą dziwnego przyzwyczajenia trzymał się od ruchowo na siodle. Wówczas „Vera“ nie kierowana już zupełnie i sama kontuzjonowana silnie odłamkiem granatu w lewą tylną nogę przeniosła go przez kamieni-

stą i rwącą rzekę górską i doniosła szczęśliwie aż do naszych pozycji, gdzie można go było dopiero opatrzyć. Nie dziw więc, że wdzięczny, niestety nie wyleczony jeszcze dotąd zupełnie, artysta-malarz sportretował ją z pamięci na kilku ułańskich obrazach.

Od czasów Zielonej stała się „Vera“ nieodłączną wierzchówką niżej podpisanego. W ciągu roku wojny wynosiła go szczęśliwie z niejednej ciężkiej opresyi. Pod Mamajestie wyprowadziła go z pod ognia karabinu maszynowego, na patrolu pod Rokitną w czasie szarży nagłym odskokiem uratowała go od wybuchu granatu, który padł tuż przed nią, w niejedną ciemną noc, nie kierowana zupełnie potrafiła odnaleźć drogę powrotną wśród lasów i bagien, choć przebywała je dopiero po raz drugi w życiu i to w odwrotnym kierunku, a do jakiego stopnia przyzwyczaiła się do swego jeźdźca to dowodzi następujący epizod: Przyjechał w Kotul-Ostnicy do szwadronu gość z innej legionowej broni i prosił o pożyczenie konia na krótki spacer. Właściciel przystał na tę propozycję, bo odmówić nie wypadało, ale bez wielkiej chęci, gdyż żaden ułan chętnie swego konia nie pożycza. Dość na tem, że gość wybrał się w stronę Mahali. Klacz, na której dotąd jeździła się zupełnie swobodnie, odczuła widać inną rękę, gdyż przedewszystkiem nie zgodziła się zasadniczo na obrany kierunek, następnie zawróciła i pokłusowała z powrotem. Po drodze przeskoczyła leżącą na drodze wielką świnię i rwała teraz już pospiesznie na niezbyt odległy płot. Gość widocznie miał dosyć skoków, gdyż każde postawiło na swoim. „Vera“ przeskoczyła płot, a jeździec został przed płotem. Po tym fackie z najspokojniejszą w świecie i niewinną miną powróciła truchtem na swoją kwaterę. Na szczęście gościowi nie

się nie stało, ale drugi raz od ułanów koni już nie pożyczął, twierdząc, że są źle wyjeżdżone.

Nie wszystkie jednak nasze konie są tak łagodne jak „Vera“. Do złośliwych z natury należą przede wszystkim dwa: „Książę Adam“ i „Budrys“.

„X. Adam“, koń kary z białą gwiazdką i niską białą pończoszką na prawej tylnej nodze, dużej miary i wspaniale rozwiniętych piersiach pochodzi, o ile mi wiadomo, z Pełkini. Przyprowadził go Iwanowski, dłuższy czas jeździł na nim Włodek. Szlachetna krew przebijająca się w nim w ambicyi jechania na czele oddziału, a jak zaznaczyłem już wyżej, nie każdy koń jest do tego zdolny. Mieliśmy w szwadronie n. p. gniadą „Ninę“, która w szeregu chodziła świetnie. Gdy się ją jednak chciało zmusić do wyjechania z rzędu naprzód, zapierała się przednimi nogami, biła tylnymi, gryzła sąsiednie konie, i dała się raczej zabić niż wyprowadzić na czoło plutonu. Na ćwiczeniach w Korniecu zauważył Rotmistrz jej wadę i sam spróbował ją do wyjechania zmusić. Walka konia z jeźdźcem trwała godzinę, ani łagodnością, ani siłą, ani ostrogami, ani batem rady jej dać nie było można. Wreszcie Rotmistrz dał za wygraną i odkomenderował ją za karę do trenu.

Przeciwnie, „X. Adam“ w szeregu był nerwowy, na czele spokojny. Opiekowanie się nim nie było jednak łatwe i chłopcy stajenni nazywali go zawsze „Czarnym dyabłem“. Przy siodłaniu, czyszczeniu i wsiadaniu na siodło, chwycił zębami i bił równie zręcznie przednimi nogami jak tylnymi; nie było rzemienia ani sznura, któregooby nie potrafił przegryźć, rozwalał drzwi stajni i wyrwał się na wolność. Bywały wypadki, że ułan goił potem za nim po 12 kilometrów. Dwa razy nam go skradziono przy podobnych wycieczkach, lecz albo

się wyrwał z niewoli, albo też odprowadzono nam go z powrotem, bo nawet złodziej rady z nim dać sobie nie mógł. Przywiązany na łańcuch przez dwa dni systematycznie szarpał głową, aż wreszcie łańcuch zerwał. Siłę jeźdźca oceniał prędko, kto tylko słabiej trzymał się na siodle, ten po stu krokach już leżał na ziemi. Z takim temperamentem byłby zmarniał u nas, ale na szczęście przybył do szwadronu niepospolity siłacz, używający pseudonimu „Lubicza“. Jak wszyscy wielcy siłacze miał on charakter łagodny i łagodnością próbował pozyskać zwierzę. „X. Adam“ nie poznał się na tem, gdy jednak raz i drugi schwycony za grzywę osadził się w żelaznych rękach jak piorunem rażony, zrozumiał, że to nie przelewki i dał za wygraną. Od-tąd spokorniał, dziwnie złagodniał, wyszlachetniał jeszcze, a ponieważ szarża go minęła, bo był wówczas na patrolu, więc po stracie naszych chwał szwadronowych stał się najpiękniejszym koniem oddziału.

Drugim, jeszcze złośliwszym koniem jest gniady wałach „Budrys“. Dość popatrzeć na jego silną budowę, zakrzywiony nos i złośliwe oczy, by się o jego charakterze przekonać. Pochodzi on, podobnie jak „Vera“ i gniady „Kaprys“ ze wschodniego Legionu. Zakupiony w Mszanie Dolnej i prowadzony luzem do Krakowa, ledwo nie zabił towarzyszącego mu konno ułana. Już sama historia jego kupna, wartą jest opisaną. Komisji naszej zakupującej konie wierzchowe doniesiono, że u poczmistrza w Niedźwiedziu jest do sprzedania koń pozostawiony tam przez Legionistów ze Lwowa. Ułani pojechali na miejsce i przekonali się, że przedstawione im zwierzę posiada pełne zalety na wierzchowca. Zadziwiła ich tylko nieproporcjonalnie niska cena i warunek, że kontrakt sprzedaży pozostaje

w mocy bez względu na wynik próby pod siodłem. Porucznik Włodek kontrakt podpisał i wydelegował młodego Józka St., syna obywatela z Kutnowskiego do przejechania konia. Nasz ułan zbliżył się śmiało do zwierzęcia, ujął za cugle, poklepał go po szyi i jednym rzutem już siedział na oklep na grzbiecie. Koń wyraźnie się zdziwił, posłuszny woli jeźdźca przekłusował wokoło dziedzińca, w galopie zmieniał nogę, jednym słowem zachował się, jak doskonale wytresowany rumak. Ułan zeskokczył z niego, a wówczas „Budrys“ wyciągnął łeb, stulił uszy i nożdrzami obwąchał nieznanego mu jeźdźca o takiej dziwnej sile hypnotycznej. Próba pod siodłem wypadła równie dobrze i koń przeszedł na własność szwadronu. Już za sam widok wyrazu twarzy byłego właściciela warto było ponad cenę kupna z 50 K. dopłacić. Na pocieszenie go dodam, że już następnego dnia „Budrys“ zwałił innego ułana z siodła, a od tego czasu ma na swoim sumieniu kilka poważnych wypadków z ludźmi i dwa konie zabite gwałtownem kopnięciem w brzuch.

Wielki samotnik nie zaprzyjaźnił się dotąd z żadnym towarzyszem, w stajniach stoi zawsze osobno i zdaje się rozpamiętywać jakąś bolesną, dawno już wyrządzoną mu krzywdę. Dość wejść do stajni i krzyknąć głośno „Budrys“! to wnet głowę węzowym ruchem zwróci, uszy po sobie położy i silne zęby jak zły brytan na wołającego wyszczerzy. Nieraz wypręży się jak struna, rzemień u złobu, cofając się naciągnie i niespodziewanie mijającego go człowieka lub konia kopytem świśnie. Obcemu nie radzę zająć go nawet od pyska. Były wypadki, że ułan z innego szwadronu zakradłszy się po owies parę godzin przesiedział pod złobem w jego przegrodzie, bojąc się ruszyć, by prze-

dniem kopytem nie oberwać guza, póki go nadeszła pomoc z tej opresyi nie wyratowała. „Budrys“ o życie własne nie dba. Pamiętamy go, jak w czasie bitwy Bortnickiej przywiązany z innemi końmi do belki w szopie urwał się, odszedł parę kroków, kopytami nagromadził sobie słomę, potem się na niej jak długi wyciągnął i zasnął. Gdy granat lub szrapnel za blisko uderzył lub śniegiem go obsypał, to tylko głowę leniwie podnosił, popatrzył na wyrwaną dziurę i potem dalej spokojnie zasypiał. Trzeba przyznać, że obok niego równie spokojnie spał z głową opartą na siodle jego pan, artysta muzyk ze Lwowa Sierakowski, pseud. Ścieżko. Ale też zżyci byli ze sobą przez rok wojny w niecodzienny sposób. W kilka tygodni później Ścieżko rozchorował się, gdyż Budrys dybiąc na przechodzącego konia, zgniół mu przypadkiem łańcuchem, na którym stał uwiązany, rękę. Ułan pojechał do szpitala i stamtąd przydzielony już został wprost do 5-tego szwadronu. W sierpniu zginął bohaterską śmiercią na patrolu nad Bugiem. Po jego odjeździe „Budrys“ spochmurniał jeszcze bardziej, i osłabł na nogi i już pewnie nigdy nie wróci do swej dawnej, ale i groźnej postaci.

Do jakiego stopnia dobre obchodzenie się z koniem może wpłynąć na jego charakter dowodzi historia karej z białą gwiazdką na czole „Maryški“. Klacz tę odszukał poręcznik Topór w jakiejś zapadłej wsi węgierskiej w opłakanym stanie. Poraniona od kul czy od razów, skóra, ledwo trzymała się na wynędzniałym szkielecie. Za lada zbliżeniem się gryzła i resztką sił biła kopytami, chłop któremu ją w tym stanie zostało jakieś przechodzące wojsko, pozbył się chętnie kłopotu i „Maryškę“ przyłączył do szwadronu. Umie-

jętne zabiegi i delikatna ręka wracała jej powoli siły i ochotę do życia. Po dwóch miesiącach dała się już głaskać po grzbiecie, po czterech pozwoliła się osiodłać, a dziś pełni już służbę w szwadronie i jest podziwianą przez znawców. Martwi to nas tylko, że dotąd nie wróciła jej wesołość. Może być, że ta jej melancholia jest następstwem straty źrebięcia, które w tak okropnych warunkach przed jej znalezieniem na świat przybyło i wkrótce zginęło. Dłuższy pobyt wśród koni szwadronowych może przecie korzystnie wpłynąć na to smutne usposobienie.

W podobny sposób odratowała opieką ówczesnego wachmistrza S. 11 koni zakupionych od rządu w Krakowie po bitwach kraśnickich, w tej liczbie dwa śliczne kasztanki „Erosa“ i „Psychę“ i „Serwusa“ oryginalnego konia, bo obrzuconego białymi płatami na łbie, białymi okularami około oczów i posiadającego tę wadę, że w marszach zgrzyta zębami jak potępiona dusza. „Serwus“ był powtórnie ranny pod Rokitną i to od czterech kul naraz w szyję i łopatki. Bezpośrednio po szarży przygalopował jednak do miejsca opatrunkowego i dzięki szybkiej pomocy zdołano go odratować pomimo upływu krwi. Dzisiaj chodzi już zdrów i wesół w szwadronie.

Nietylko końmi, ale i urodzonymi na wojnie źrebiętami wypadnie nieraz się zaopiekować. Gniada klacz zwana „Panią Zawadowską“ urodziła źrebię w wagonie w drodze z Moissin do Delatyna. Por. Topór wynajął mu na tej stacji powóz na resorach, wymościł go sianem i źrebię szczęśliwie tym ekwipażem do Kołomyi dowiózł. Gorzej przytrafiło się filigranowej źrebicy „Iskrze“, będącej darem ks. Sapieżyny. Śliczna ta kasztanka o wyglądzie sarenki z białymi pęcunami zo-

stała matką po uciążliwym marszu w Czerniawce na Bukowinie. Żrebię wychowało się jednak niezłe, i przez parę tygodni biegało za szwadronem, aż je w końcu u baronowej R., pomimo protestów matki na dalsze wychowanie zostawiono.

Zamiłowanie Polaka do koni przebija się na wojnie jak nigdy, to też niełatwą odziedzyczyliśmy tradycję po ułańskich przodkach. Że legionowa kawaleria tradycje te dochowa i dalszym pokoleniom przekazać potrafi, dowodzi kilka podanych niżej autentycznych przykładów z naszego szwadronu.

W Moissinie stanął do raportu 17-letni ułanik o chłopięcej jeszcze twarzy, nazwiskiem Uziembło, i poprosił służbowo o pozwolenie przeprowadzenia siwki „Zosieńki“ na swoją kwaterę. Motywował to tem, że w izbie jest piec, a w stajni panuje straszne zimno. Pozwolenia na to nie dostał, ale zato „Zosieńka“ otrzymała jeszcze jedną derkę więcej. Biedny Uziembło zmarł nam w kilka tygodni potem na szkarlatynę, zaziębiwszy się już w chorobie ciągłym odwiedzeniem konia. Ułan M., obywatel ze wschodniej Galicyi przyprowadził do Legionu też swoją „Zośkę“, klacz gniadą, podobną jak siostra do „Hochli“. Wysłany na niej z meldunkiem pod Bortnikami, wolał konia odesłać do lasu, a sam brnąć po śniegu piechotą, przejść wzdłuż linii tyralierskiej, zamiast wzdłuż niej przegalopować, bo więcej dbał o całość konia niż o swoją głowę. Tenże sam ułan zraniony pod Rarańczem nie odjechał do szwadronu, gdyż musiałby wierzchówkę zostawić pod cudzą opieką. Tegosamego dnia drugi szrapnel zranił mu klacz w nogę i dopiero wówczas wybrali się razem do szpitala — ale końskiego. Podobnie postąpił sobie Janiszyn ze swoją „Hanką“, gdy równocześnie postrzelił

ich karabin maszynowy pod Mamajesti. Tak długo nie chciał się poddać kuracyi szpitalnej, aż jego „Hanka“, z powodu której płakał po całych dniach, przyszła trochę do siebie i mogli znów razem powędrować do zakładu leczniczego koni. Razem też otrzymali potem śmiertelne rany pod Rokitną. Inny znów ułan S., ranny w tej szarży, umieszczony był w szpitalu w Rarańcu. Na wiadomość, że jego siwka „Ukochana“, którą miał już za straconą, odnalazła się w dobrym zdrowiu, wymknął się ze szpitala i choć bok mu srodze dolegał, zameldował się jako zdrowy w szwadronie byle tylko koniska bez opieki nie zostawiać. Kapral L. zwał się w czasie szarży ze swoją siwką lecz ta poderwała się i wnet pogalopowała z krwawiącą raną na piersi wzdłuż okopów rosyjskich. Doniesiono nam potem, że schwytał ją jakiś tren artyleryi. Nasz kapral przez tydzień objeżdżał okoliczne pozycje, w nadziei, że przecie swą towarzyszkę, na której jeździł od początku wojny, odszukać potrafi. Dotąd jej jeszcze nie znalazł, lecz ilekroć usłyszy dudnienie artyleryi na drodze, wybiega z kwatery i przegląda jej konie. Ciągłe żyje nadzieją, że przecie zdoła ją odszukać, a że ją zaraz pozna, nikt o tem nie wątpi.

Zdarzały się choć rzadko i odwrotne wypadki. Oto jeden z oficerów przydzielonych chwilowo do naszego szwadronu, wracając raz z silnie ostrzelanego patrolu zameldował, że koń w drodze powrotnej ustął mu zupełnie, nie reagował już nawet na ostrogi i że w końcu musiał go w sąsiedniej wsi zostawić. Wysłani na drugi dzień ułani donieśli, że koń padł, gdyż był przez brzuch na wylot przestrelony. Wtedy dopiero zrozumiałem stało się nagłe zmęczenie, tak rączego dawniej konia. Jeździec, który nie spostrzegł się, co się stało własne-

mu wierzchowcowi i ostrogami przymuszał ginące z bólu zwierzę do biegu tak stracił na sympatyj, że odwołanie go ze szwadronu przyjęto ogólną radością. Było to zgodne z tradycją, a bardzo ostre kary o ile się zdarzały, wymierzane były zawsze za złe obchodzenie się z końmi.

Dowodów za to przywiązania koni do nas mamy mnóstwo. Kary „Kowal“ Garbaczewskiego zawrócił w szarży do rannego jeźdźca, który spadł z siodła i stał długo nad nim bezradnie, aż go pękający w pobliżu szrapnel nie zranił. Gdy nazajutrz pluton ułanów przejeżdżał przez Rokitną eskortując wozy z poległymi, „Kowal“ przykłusował z nami do Rarańcza, gdzie go można było dopiero opatrzyć. Inne konie jak „Jurek“, „Huzar“ i „Vera“ chodzą za swoimi panami krok w krok jak psy.

W Kirlibabie zdarzył się z tego powodu zabawny wypadek gdyż dwa konie zostawione przy płocie odczepiły się i po wązkim mostku rzuconym nad rowem i poprzez pięć schodów weszły za nami do restauracji, budząc panikę wśród zebranych gości.

Przez wielomiesięczne wspólne życie z ludźmi, konie na wojnie dziwnie łagodnieją. W stajniach można spokojnie spać między niemi, wiedząc, że będą na tyle uważne, by przypadkowo nawet nie nadepnąć na śpiącego pana.

Znają też dobrze przynależność swą do szwadronu. Zdarzyło mi się to zaobserwować na Verze. Odesłany raz z meldunkiem wstecz, doganiałem później dłuższy czas mój oddział. Klacz niepokoiła się osamotnieniem, a choć po drodze minąłem kilka plutonów huzarów i dragonów, przy żadnym z nich nie pragnęła się zatrzymać, aż gdy zdala spostrzegła siwe nasze kozuszki

i znajome jej widać konie, zarżała króciutko i już spokojnie dojechała do plutonu. Charakterystyczny wypadek zdarzył się pod tym względem w Königsfeldzie. Oto chory Kosiński uprosił wachmistrza szwadronowego, by mu konia zostawił, na którym miał nadzieję za kilka dni szwadron dopędzić. Wachmistrz zgodził się na to i gniady „Kuba“ został w stajni. Nie na długo jednak. Gdy wpół godziny później usłyszał przez ścianę, że szwadron drogą ze wsi wyjeżdża, zerwał uździenicę, wywalił drzwi szopy, dogonił oddział i zajął zwykle swe miejsce w czwórce swojego plutonu. Spostrzegł to rotmistrz i wezwał wachmistrza do wytłumaczenia się z pozostawienia konia. Po wysłuchaniu relacji zdecydował, że jeśli „Kuba“ na ochotnika zgłasza się na front, to trzeba go ze sobą, choćby luzem zabrać. I dobrze się stało, bo właściciel jego — nie wiem czy z zazdrości o konia — rochorował się poważnie i znacznie później mógł dopiero do szwadronu powrócić.

Wobec takiego zżycia się z końmi, każda strata wśród nich brana jest bardzo do serca. A gromadka starej gwardyi stopniała już nie mało. Pod Dobronowcami popadła w niewolę rosyjską poczciwa gniada „Lala“ i ogierek kary z białą łysiną i białymi oczami zwany „Rybie Oko“. W Czeremoszu utopił się w okolicznościach, które mogłyby wskazywać na samobójstwo, kasztanowaty „Arabczyk“. Jechaliśmy wówczas z Żabiego do Jaworowa drogą wysoko położoną, nad pieniącą się wśród skał i lodów rzeką. Nagle „Arabczyk“ z drugiego plutonu, czy to pod wpływem kurczów, czy nagłego obłędu zwanego kolerem, wyłamał z szeregu w prawo, spiął dęba, przesadził baryerę i rzucił się do Czeremoszu. Przez chwilę konia ni jeźdźca

widać nie było, wypłynęli znowu, prąd ich zniósł na płytsze miejsce i rzucił o kamienie. Ułan wyszedł cudem z tej przygody cało, koń miał połamane nogi i odratować się nie dał. W podobnej sytuacji znalazł się raz rotmistrz na „Hochli“. Zdarzyło się to w powrocie z dekoracyi ułanów przez Eks. Pflanzler-Baltina na drodze między Rafajłową a Zieloną. Noc pomimo śniegu była ciemna, a gościniec miejscami naderwany przez wezbraną Bystrzycę. Na jednym z zakrętów wypadły nagle z przeciwnej strony błyszczące latarnie nadjeżdżającej wązkotorowej kolejki. „Hochla“ wspięła się i przednimi nogami zawisła nad baryerą dzielącą drogę od rzeki. Tylko skręcenie karku klaczy w bok — żelaznym ruchem — uratowało jeźdźca od śmierci.

Konie nasze wogóle płochliwemi obecnie nie są. Do armatniego huku przyzwyczały się one dziwnie prędko, pęknięcie szrapneli nie robi na nich wielkiego wrażenia. Tylko w razie huraganowego ognia, jaki słyszały pod Kirlibabą, Lisowem i Kostiuchnówką, drżeć zaczynają z nerwowego napięcia. Gwizdu kul karabinowych ani pęknięcia rosyjskich ekrazytówek nie lubią, gdyż przypomina im to trzaskanie z bata. Gdy więcej kul leci otrzepują się od nich uszami, jak od uporeczywych bąków. A są to przecież te same konie, które w pierwszym marszu z Przegorzał do krakowskiego dworca rozerwały nam na odgłos samochodu po trzykroć całe szyki i rozbiegły się po ulicach miasta.

Na wojnie raz tylko zdarzył się popłoch wśród naszych koni, a było to w Jezierzanach. Cały szwadron stał wówczas rzędem za stodołą, frontem do dziedzińca, jako osłona strzelającej artylerii. Ułani rozeszli się po siano, aż tu nagle spłoszony hukami jakiś konik chłopski przegalopował koło stodoły. Na daną przez gnia-

dego „Maksa“ komendę wszystkie konie ruszyły ławą galopa, nie psując wyrównanego rzędu, zajechały jak na ćwiczeniach w lewo i ruszyły z kopyta w stronę Moskali. Na szczęście wracał stamtąd właśnie patrol szwadronu Dunina-Brzezińskiego, który tą samorzutną szarżę zdołał powstrzymać. Ten sam Maks poprowadził w pół roku później pod Rokitną pięć koni po rannych i zabitych ułanach na rosyjskie armaty i o ile sam nie zginął, to dostał się do niewoli.

Wiele dałoby się jeszcze uzupełnić w tych wspomnieniach. Trzebaby opisać bohaterską śmierć „Murzy-na“ i „Pajaca“, zalety „Świniaka“, noszącego od czasów Zielonej kulę nad prawą łopatką, karego „Bidusia“, kasztana „Selima II“ i poczciwej „Magdy“, wesolej „Kokietki“ z przestrzelonym pod Mamajesti językiem, gniadej „Babki“ Łuszczewskiego z pękiem siwych włosów u nasady ogona, zwanej za młodu w stajniach hr. Morstina „Uroczą“, historycznej „Telimieny“, „Totki“ brudno-kasztanowatej o wdzięcznej sylwetce i jasnym, dobrem wejrzeniu i tyłu innych, lecz nie chcę zbyt obszernie opisu przeciągać.

Nie mając skali porównawczej, trudno jest ocenić czy zamiłowanie legionowych ułanów do koni jest równe, czy większe jak w innych szwadronach. Sądzę raczej, że większe. Pochodzi to stąd, że nie tylko ułani byli ochotnikami, ale i konie pośrednio na ochotnika poszły na wojnę. Znaczną ich część przyprowadzili właściciele, pewną ilość darowały dla Legionów zacne obywatelskie koła, a może najwięcej pochodziło z kupna za pieniądze zebrane z drobnych składek, za te wdowie nieraz grosze, składane przez szerokie, niebogie ale ogromnie ofiarne warstwy naszego społeczeństwa, jako odzew na manifest 16 sierpnia. To też godną

i sprawiedliwą było rzeczą po tylu miesiącach wojny zdać o nich publiczny rachunek. Niech ten opis ich historii będzie podziękowaniem za przetopione na żelazo złote obrączki, za każdą sztukę srebra czy niklu, wyłożoną na cele narodowe z drobnych oszczędności ludzi ofiarnych, choć ubogich.

Grudzień 1915.

UŁAŃSKIE KWATERY.

A kto chce rozkoszy użyć
Niech w ułany idzie służyć.

Przyjdzie czasem noc taka, że spać nie można; wokoło na zestawionych ławach chrapią spokojnie towarzysze, w stajni chłopskiej za ścianą ustał nawet tupot kopyt końskich, a ty usnąć nie możesz. Kręcisz się z boku na bok, poprawiasz podłożony pod głowę kożuszek, otulasz białą, z pod siodła wyjętą derką coraz ciaśniej, kradniesz śpiącemu sąsiadowi słomę i podsuwasz ją pod krzyże na twardą deskę, palisz papierosy — ale usnąć nie możesz.

Dajesz wkońcu za wygraną i zaczynasz myśleć o tem, coś widział w czasie ostatniego roku. — Przychodzą znajome twarze ludzi, których już nie ma, snują się przed oczami krajobrazy bitew, wtedy pełne zgiełku, dziś pewno spokojne, biją tętna przebrzmiałych walk lub przesuwają się w pamięci jak nanizane paciorki koronki, wojenne kwatery, w których wczoraj, przed miesiącem, przed rokiem gościłeś...

— — — — —
Czy pamiętasz tę pierwszą — szlachecki dworek w F. w ziemi miechowskiej?

Było nas wtedy czternastu, komenderował Włodek, Świrysz jechał na szpicie, a ułan zwany wśród nas Garnyszem, jako przewodnik, prowadził. Droga ze Słomnik do Miechowa miała być obsadzona kozackimi patrolami, więc jechaliśmy na przełaj, przez pola, zarośla jakieś i lasy. — Noc jesienna dżdżysta, ciemną była

okrutnie, więc jechało się krok za krokiem. Wreszcie dobiliśmy na drogę, wiodącą do wsi. Garnysz ruszył klusem naprzód, my za nim wolno dojeżdżaliśmy do parku. Wkrótce wrócił: „Rodzice czekają!”

Ruszyliśmy rysią na dziedziniec. Wśród starych lip, stary szlachecki dworek, drzwi od niego otwarte, bije z nich światło, w progu stoi panienska. Obudził ją widzieć brat przed chwilą, bo oczka ze snu przeciera.

Idziemy do sieni z brzękiem ostróg, z trzaskiem szabel. Trzeba się w progu schylić, by ułańskim czakiem o belkę nie uwadzić.

Panienska woła: „Witajcie! Wczoraj byli tu rosyjscy dragoni, a dzisiaj Wy! Tylko cicho, konie w stodołę umieścić, by ludzie nie widzieli. Oni kwaterują w sąsiedniej wsi!”

Placówki za stajniami i w ogrodzie już rozstawione, rodzice resztę żołnierzy, czem mogą, w jadalni podejmują. Pytają o wieści z Krakowa, opowiadają dawne dzieje — na co Miechów patrzył w 63-cim...

W rogu stary zegar znaczy godziny zmiany wystawionych wedet. Jagrym i Sokołowski je luzują. Tak zeszła noc na przemian na zimnym wietrze, i w cieplej, w stare obrazy po ścianach ubranej jadalnej komnacie szlacheckiego dworku.

Przed świtem odjazd.

Nie wróciliśmy tam więcej i więcej wrócić nie można. Przez rok wojny wiele się tam zmieniło. Stary pan tej wioski w mogile, nasz komendant również, panienska dziś żoną jednego z czterestu ułanów, a dwór?

Skoro pytałem o to niedawno Garnysza, gdy wrócił ze swych stron rodzinnych, mówił mi: „Dworu niema. Grunt pusty z wiosną zaorano. Porosło tam zielsko“... To była nasza pierwsza ułańska kwatera.

Noc następna w żydowskim zajezdzie w Miechowie, a trzecia w N. pod Słomnikami. Staropolska gościnność, wprost uczta wydana na naszą cześć, w czasie której trzy panny wierszami własnej kompozycyi przemawiały do ułanów. Placówki trzymała wierna dworska służba a my spać mogliśmy spokojnie, choć o trzy wiorsty stamtąd stały dwie kozackie sotnie. Rano, gdyśmy odjeżdżali, munsztuki koni zdobyły ostatnie kwiaty jesieni.

Kwaterny podobne dały nam przedsmak tego, czem byłaby wojna prowadzona na własnej ziemi, wśród swoich...

A było ich w ciągu roku tak mało.

Wspólna kwatera w pierwszej krakowskiej szkole podchorążych pod Kopcem Kościuszki. Mieszka tam 70 przyszłych oficerów Legionu. To też mimo wojskowej karności, weselość ogromna. Pruszyński w niej przewodził. Taki sam był pod Mołotkowem, gdy dostał postrzał w szyję, taki sam na patrolu w Perekreście, z którego już nie wrócił.

Kwaterny szwadronu w Przegorzałach... Wydawały się nam wówczas tak mało wygodne, skargi na brak miejsca, na panującą wilgoć były ciągłe. Przypominał nam o nich rotmistrz Wąsowicz, gdyśmy pięć dni i nocy pod Kirlibabą spędzili na śniegu i ze śmiechem pytał: „A do złych kwater w Przegorzałach wróciłyby nie laska?“

Przyszedł długi łańcuch kwater na ziemi niepołskiej.

Stajnia w Huszt. Ależ zimno było na tej słomie. I powiedz mi, czemu byliśmy tak wówczas naiwni, że

nie zakwaterowaliśmy się w domu pocziwego Madziara, który pierwszy nauczył nas, później tak często słyszanego zdania: „Nem tu dom!“ („Nie rozumiem“). Z biegiem czasu delikatność podobna zupełnie nas opuściła.

W Nägy Szellös mieszkałem na dawnej kwaterze — Bema! Właściciel domu pokazywał mi list jego, przechowywany w rodzinie, jako cenną pamiątkę. Żałował, że już jest za stary, bo poszedłby z nami.

Przyszła serya biwaków pod gołym niebem, na słowie jesiennej: Krasnizora, Brusztura, Holzschlaghaus. Szczególnie ten ostatni wrył się nam dobrze w pamięć. Po długim marszu zwężając się coraz bardziej doliną dojechalśmy już po ciemku do ściany lasu. Jakaś ogromna góra, stała przed nami, kontury jej w mroku wieczornym ginęły zupełnie. Pewnem było jedno, że droga się tutaj kończy. Wązka dolina zapechana była setką wozów 3-ego pułku, tak, że nam wypadło rozmieścić się na noc już w głębi lasu. Konię powiązano do drzew, rozpalono z trudem ogniska z mokrych gałęzi, a ułani obsiedli je w brunatnych płaszczach wokół i gwarzyli o tem senne, i co ich tam za górami w przyszłości niedalekiej spotkać może.

Ledwo świt błysnął już rotmistrz kazał konie posiodłać, bo mu pilno było przejechać węgierską granicę. Deszcz ustał, więc jechało się wesoło. Ale nie długo trwała ta jazda, ledwo kilkaset kroków. Bo wnet szwadron wjechał na początek 4 - kilometrowego mostu z okrągłaków, jaki w ciągu trzech dni i nocy rzucono przez nieprzebyte dotąd bagna i wertepy. Oślizgłe, świeże pnie utrudniały pochód. Więc rotmistrz kazał zsiąść z koni i rozpoczęła się trzygo-

dzinna pielgrzymka na piechotę po tak stromej drodze, jakiej wierzchowce nasze jeszcze w życiu nie widziały.

Ale i to humoru zepsuć nie mogło. Im wyżej się pniemy, tem bliżej granica, więc choć karabin na plecach cięży, choć konia trzeba co chwila za łeb szarpać, by się na dalszy marsz zdecydował, idziemy wesoło. Przecie tam za górą Stanisławów, jak się uda to weźmiemy i Przemyśl i marsz — marsz — do Królestwa!

Wreszcie las się kończy, otwiera się obszerna polana. To szczyt góry — to przełęcz Pantyraska, to już polska ziemia!

Po niewykończonej jeszcze drodze poprzez bagna powyżej kolan, poprzez zwałone kłody drzew schodzimy w dół — do Rafajłowej. Jeść niema co, ale humory złote. Nazajutrz o świcie wyszły patrole, by zakosztować polskiej gościnności.

Przyjęcie na kopalni Bitkowskiej. Serca złote, poczucie polskości ogromne, niech żyją mazurscy nafciarze! Wpadliśmy tam tuż po śladach kozaków jako pierwszy legionowy podjazd. Jeszcze strach było widać w oczach pań gdyśmy zjechali w półmroku wieczora. Ale też radość była tem większa. Rządbym w zakład stawił, że nasze konie dotąd pamiętają elektrycznie oświetloną stajnię, w której owies sypał się ze żłobów, a słoma im po kolana sięgała. Był tam jeden Francuz, który tak nas polubił, że gdy przyszło się cofać, glejt rosyjski zostawił i z nami wyjechał na Węgry.

Sołotwiński zajazd w mieszkaniu burmistrza. Stół zastawiony gęsto butelkami. Znalazł się nawet szampan w cenie czterech koron. Krzyk, wrzask i wesołość, jak

po polowaniu. Był to wieczór bitwy cucyłowskiej. Tam to powstała szwadronowa piosenka:

„A nasz rotmistrz, chłop morowy,
Zbił Moskali w Cucyłowej“.

Dziesięciu naraz opowiadało swe przeżycia. Byli tam Asesorzy i Rejenci, którzy klócili się o to, od czyjej kuli padł oficer kozacki. Czerkieskie zdobywcze kładziały krażyły z rąk do rąk, a w rogu wisiała czerwona, balowa jedwabna sukienka jakiejś panny polskiej, znaleziona przy olstrach kozackiej kulbaki. Schowana była potem przez rok prawie na trenie szwadronu, aż ją nam ktoś skradł i komuś darował.

To był nasz miodowy dzień wojny. Straty małe i tylko w rannych, a zwycięstwo duże. Jeden por. Zieliński siedział jakiś markotny. I nie dziw, bo ulubiony jego koń zginął w tej bitwie.

W Nadwórnej staliśmy we dworze, zniszczonym przez kozaków. Obrazy pocięte szablami, lustra pobite w szczyrby, dywany pokrajane, biblioteka w strzępach. Kto tego nigdy nie widział, ten pojęcia o tem niema, z jaką precyzyą może tłuc, niszczyć, w drzazgi obracać ta kozacka banda.

Na długo przed świtem przyszło na koń siadać. I nie wiem, czy to zniszczenie tak podziałało na nas przygnębiająco, czy też zmęczenie po tygodniu ciągłych, długich marszów tak nam dolegało, dość, że wyjeżdżaliśmy tego dnia eicho, bez zwykłych śpiewów i jakoś żałośnie, jak na jaki pogrzeb. Później nam mówiono, że żołnierz miewa czasem zbiorowe przeczecucia...

Był to dzień krwawej mołotkowskiej bitwy.

Przyszło się cofnąć na Węgry. Losy wojny, jak zmienny wiatr, rzuciły szwadronem w owych czasach

w różne strony. Co noc zmienialiśmy kwatery, dwa razy przechodziliśmy przełęcz Pantyrską, dwa razy Pasiczna była stracona i dwa razy znów była naszą. Aż stanęliśmy na dłuższy postój w Zielonej.

Czy pamiętasz te dwa pokoje na ruskiej parafii, gdzie nam przeminęło trzy tygodnie wojny? Dom był zniszczony, wieś wyludniona, a przytem śniegi zawiąły do ena wszystkie drogi, tak, że dowóz prowiantów, poczty, wiadomości prawie zupełnie ustał.

Żyło się jak w oblężonej fortecy. Jesienna nuda sączyła się z pustych ścian, z pustych dróg, z pustki tak strasznej, jakiej później nie doznaliśmy chyba już nigdy więcej.

Po tygodniu opowiedzieliśmy sobie wzajemnie wszystko, co można było sobie opowiedzieć: po dziesięciu dniach zabrakło nam tytoniu, więc paliliśmy zeschnięte liście bukowe; na rosół i sztukę mięsa z ryżem, bo nawet ziemniaków brakło, po czternastu dniach patrzeć się już było trudno, a innego jedzenia nie było. Wreszcie odetchnęliśmy — ryż się skończył! Ale zamiast niego nic nowego nie przybyło. Wkońcu nawet ścichły nocne alarmy, które dotąd dawały nam złudzenie jakiejś czynności. A śnieg padał i padał.

W takich chwilach nauczyliśmy się cenić dwóch ludzi: naszych poruczników, Włodek i Topora. Choć Włodek, jako przywykły do życia wygodnego i intelektualnego cierpiał nad fizyczną i moralną biedą nie mniej od każdego z nas, to jednak okazał się w całej pełni istnym filozofem. Dotąd brzęczy mi w uszach śpiewana przez niego, co raz to na inną nutę, (bo muzykalnym on nie był), ale za to z niewygasłą werwą, francuska piosenka:

Si mon air vous dit quelque chose

Vous auriez tort de vous génér...
Je ne la fais pas à la pose
Je suis la femme, on me connaît.

Był niewyczerpany w opowiadaniu swych przeżyć z Poznania, z Krakowa, Warszawy, Lwowa, Paryża i Londynu, roztaczał przed nami tęczę swych historycznych poglądów na przeszłość i przyszłość Polski, potrafił godzinami bronić w dyskusji aksjomatu, że liberum veto było przecuciem nie tylko rewolucji francuskiej i jej droit de l'homme, ale jakiejś innej przyszłej, odległej jeszcze ogromnie, która wprowadzi w idealnym społeczeństwie tę zasadę, że słowo jednego mądrego potrafi zrównoważyć głosowanie stu tysięcy mniej mądrych; to znów zbierał nas koło mapy świata i wyszukiwał miejsce, gdzieby na wypadek nowej emigracyi po wojnie pragnął się osiedlić... Sekundował mu werwą Topór-Kisielnicki. Stworzony przez naturę na ułańskiego porucznika, nie mógł się tem nacieszyć, że przecież wojny i to ułańskiej wojny dożył. Filozoficzne wywody Włodka rozcinał słowami ostremi jak szabla. Wieczny optymista umiał humorem i fantazją cały szwadron porwać, a marzył tylko o tem, by ze swoim plutonem przebić się za rosyjską linię i tam rozpocząć podjazdową walkę śladem dawnych zagończyków.

Trzecim wreszcie filarem i podporą wesołości okazał się w tych nudnych czasach artysta-malarz i karykaturzysta kapral S. Zajmował wówczas, a więc przed wstąpieniem do bojowego składu szwadronu, mało artystyczny urząd komendanta trenu. Zdolności na tem polu wykazał jednak nie małe, gdyż zdobył nam pewnego poranku cudem jakimś beczułkę rumu. Nie był to likwor pierwszorzędnej jakości ni marki,

kwalifikowałby się raczej do taniej kuchni fiakerskiej, niż do oficerskiej kawaleryjskiej menaży. Na owe czasy zdobycz to była nieoceniona. — Dzięki jej mieliśmy odtąd rano herbatę z rumem, rum do przekąsek przed obiadem (których nie było), rum do obiadu zamiast wina, rum na podwieczorek z herbatą i rum do kolacyi zamiast szampana. Na nieszczęście beczułka rychło dno okazała, a drugiej już nie było. W pamięci zachowała się jednak na długo pod postacią określenia, które potrafiło kres położyć, najbardziej rozognionej dyskusyi, a brzmiało: „Daj mu — rumu!“

Wspominając Zieloną, nie mogę pominąć jeszcze jednej osoby, wchodzącej w owym czasie w skład szwadronu w randze kowala: był nim głuchoniemy ułań Sabo. Zgłosił się do nas w Przegorzalach, na migi wytłumaczył swój fach i pojechał z nami na Węgry. Po drodze zgubił się na jakiejś stacyi, lecz po tygodniu oczekiwał nas już na rynku w Königsfeldzie. W jaki sposób dowiedział się, że tam szwadron dojedzie, pozostało dla nas na zawsze tajemnicą. Ponieważ później zdarzyło mu się kilka razy w podobny sposób nas odszukać, uwierzyliśmy w jakiś psi wprost węch, którym się kierował. Dotąd nic więcej nie wiedzieliśmy o nim, jak tylko to, że był olbrzymiej siły i jako kowal wprost znakomity. Nuda, panująca w Zielonej, zwróciła dopiero na niego uwagę. Nasz artysta-malarz wdał się z nim w gawędę i powoli odcyfrował ze znaków mimicznych jego historię. Sabo był z urodzenia zdaje się Włochem, gdyż rysował nam mapę kontynentu, oblanego morzem. Jako mechanik służył przy aeroplanach i co ciekawsze, że brał udział w jakiejś wojnie, w Tripolisie, w Albanii, czy na Bałkanie — nie wiemy. Dość, że raz jadąc na aeroplanie i rzucając bomby na dół, co ilu-

strował nam malowniczymi ruchami, uległ wypadkowi, czy też został z aparatem zestrzelony, dość, że przy upadku na ziemię stracił słuch i mowę. Najwięcej martwił się tem, że już więcej na skrzypcach nie może grywać, a widać było, że dawniej muzykę namiętnie kochał. Skąd i jaką drogą dostał się do Krakowa, opowiedzieć nie umiał. Wiadomem było tylko to, że Moskali w wysokich czapach okropnie nie lubiał i że gdyby mógł każdegoby powiesił. Gdy się upił, a zdarzało mu się to często, chwycił za karabin i wyrwał się na linię, a że był siły niedźwiedziej, więc niełatwo było go w takich chwilach poskromić. Nałóg ten zmusił nas w końcu do usunięcia go ze szwadronu. Nie założyłbym się jednak, czy w ciągu wojny nie zastaniemy go jeszcze w jakim obcym mieście i czy nie przywita nas znów przez salto mortale, którem wyrażał zawsze radość z odszukania zagubionego szwadronu.

A śnieg tymczasem padał i padał...

Wreszcie, gdy nie wyrobiona jeszcze wojną cierpliwość nasza była wyraźnie na ukończeniu, przyszedł rozkaz przerzucający nas w inną stronę Karpat, na nowy teren działania.

Nie pamiętam, by ułani nasi w czasie najbardziej groźnego alarmu posiadali konie tak prędko, jak to się stało wówczas. Jechaliśmy gwarno, jak na bal, a niemniej szybko, gdyż w dwa dni byliśmy o 100 km. dalej na wschód, na Huculszczyźnie.

Przecucie nie zmyliło nas i tym razem. Tygodniowy pobyt tam, to był nasz karnawał. Te kwatery po polskich kresowych dworach, ta bajeczna kolorowość ludu, marsze, podjazdy, patrole w wyiskrzzone mrozem księżycowe noce, to był istny kulik.

Zajechaliśmy w dwadzieścia koni za Worochtą do jakiejś leśniczówki, a tam już miód na nas czekał i panińskie śmiechy, w Krzyworówni uczta, tańce w Jasionowie, a za Czeremoszem w Ujściu Putilla, już na bukowińskiej ziemi, kwatery wielkopańskie, śmiech, śpiew i muzyka.

Ułan co dnia był w ogniu, od świtu na siodle, ale za to, gdy pod wieczór na kwatery zajeżdżał, jeszcze z konia zsiąść nie zdążył, a już mu czarnookie i czarnobrewne Huculki w przedziwnie tkanych soroczkach, w wyszywanych kwiatami katankach dzbany mleka wynosiły z izby.

Tydzień ten minął jak słoneczna burza. Wstrzymano nas w pochodzie i przerzucono na Węgry. Właśnie rozpoczynał się adwent. W marszu z węgierskich równin w ciasne, martwe górskie przesmyki zajechaliśmy raz pod wieczór do wsi, która zwała się, o ile pamiętam, Talabor-falwa.

Dziwna wieś; takiej nie widziałem nigdzie. Szczyty strzech wyniosłe, ostro w górę ścięte, wyglądały, jak budowle gotyku. Wśród chałup, wieżyczka cerkiewna, smukła, jak minaret; każde ogrodzenie domów zamknięte wrotami z grubej, ślicznie ociosanej belki; na niej blachą lśniącą nabijane motywa kwiatów, czy gwiazd, jakich nigdy i nigdzie nie było w naturze. Jedna tylko droga wiodła przełęczą do tej wsi, tak wązka, że polerowana kultura współczesnej szarżyny nie zdołała się tutaj przedostać. Dziwna sztuka ludowa tej wsi, zachowana jak za szkłem muzealnej szafy, pamiętała chyba te czasy, gdy tam, za górami, na węgierskiej równinie władał basza turecki. Lud był maziarski, ale wiary ruskiej.

Pluton mój zajął zabudowania w środku wsi, niedaleko cerkwi. W nocy pająki pocięły nas w stajni niemilosiernie, więc z wiązką paproci — gdyż słoma we wsi była rzadkością — powędrowaliśmy do kurnej chaty gospodarza i nie czekając na zaproszenie legliśmy, nie budząc nikogo pokotem pod ścianą.

Przed świtem ruch w izbie zbudził mnie ze snu. Na kominie paliło się czerwonym płomykiem ognisko. Przed nim stała rodzina: stary baca, w kożuchu do góry włosem zwróconym, z fajeczką w zębach; obok gospodyni z twarzą żłobioną zmarszczkami, jak rzeźba ryta w poczerńiałem drzewie, bliżej ogniska ich córka, kraśna rusińska młodyca, w wyszywanej koszulce i w barwnej zapasce. Na ramionach miała wspartą kądziel z białym kapturkiem konopi; drobne jej paluszki biegały po nitce idącej do kłębka i trzepotały się miarowym ruchem wprawnej, zręcznej prządki.

Z ust tych trojga szły szepty pacierza. Czasem potrójny znak krzyża przerwał staremu pykanie fajeczki, a prządce jej robotę, a potem znów szept się rozlegał i delikatny szmer przesuwanej nitki szedł do ogniska.

W półmroku zeczerniałej od dymu izby, w czerwonych błyskach tlejących się głowni grupa ta wyglądała słowiańska na wpół pogańska modlitwa, przed bogiem jak zjawa ze staro dawnych wieków: niczem staroognia, niczem opowieść z czasów Bolesława, gdy to wawelski król z rycerstwem pociągnął na Kijów...

Jechaliśmy potem dzień cały w coraz ciaśniejsze przesmyki, w skały coraz bardziej ostre, aż wreszcie nawet tą dolinę zamknęła lesista góra. To Alzo-Sinewer. Tam, w tej nawpół wyludnionej wsi, w okolicy dzikiej, posępnej i pustej zapadliśmy na miesiąc leż zimowych.

Kwaterowaliśmy w domu murowanym jakiegoś żydowskiego dzierżawcy lasów. O stylu jego tyle tylko mogę powiedzieć, że miał różowe ramy okien, zielony dach i że farby te gryzły się ze sobą z każdym dniem gorzej. W środku oprócz dwóch łóżek i białego stolika angielskiej secesyi, na szczęście nie było nic więcej. Menaż oficcerska mieściła się w domu notaryusza, którego patryotyzm okazał się w tem, że na wyjeźdźnym zażądał od nas stu koron na kosztą froterowania posadzki.

W takim otoczeniu doszła nas zaległa od kilku tygodni poczta. Bogdajby była przepadła! Wiadomości były fatalne: pod Krakowem biją działa, pod Warszawą cisza, a w Polsce zrobiło się tak ciasno, że aż nasz Departament wojskowy N. K. N. musiał się cofnąć na Śląsk. W takich warunkach uroczystości świąteczne nie zapowiadały się wesoło. Pomimo śpiewu utworzonego świeżo chóru, troska o sprawy ogólne nie dopuszczała prawdziwej wesołości.

Ułani pełnili przeważnie służbę piechocką, jako placówki po szczytach zaśnieżonych gór. Patrole konne, które zapuszczały się w wąwozy, wracały z żałobnymi szczerbami; konie i ludzie nam chorowali; stamtąd odjechali nas — już na zawsze — Madejewski, Karasiński Cypryan i Stesłowicz; wachmistrz Jagrym leżał ze złamaną nogą; ciężko chorym był Nowakowski, Włodek chodził pochmurny, Topór gryzł się wewnętrznie, aż wychudł i zeczerniał. Jeden rotmistrz Wąsowiec fantazyi nie tracił; ćwiczył ludzi, ujeżdżał konie, chodził na placówki i nawet noc Sylwestrową na nich spędził.

Legiony, rozrzucone na przestrzeni 150 klm. od Rokamözo przez Eckermözo, Feniwesch, Toczkę, Also-

Sinever, Osmołodę, Nemet Mokrą, aż po Rafajłową trzymały graniczną straż Węgier.

Jakże rzeczywistość była odmienną od marzeń, jakieśmy snuli, wyjeżdżając z Krakowa. Wszak na 10 stycznia mieliśmy zapowiedzieć nasz ułański bal w Warszawie!

Ale ułan ducha nie traci. Na przekór smutkom i zgryzotom postanowiliśmy na ten dzień wydać bal i w takim pustkowiu. Patrole z najładniejszych chłopaków wybrane, doniosły, że o 30 klm. w jakiejś wsi są dwie popadjanki i jedna nauczycielka. Wysłaliśmy sianem wymoszczone sanie z zaproszeniami. Panny przyjechały w towarzystwie pół tuzina ciotek i opiekunek. Postacie miały wdzięczne (panny, a nie ciotki), ale w innym języku, jak po węgiersku nie rozumiały ani słowa, walca tańczyć nie umiały, do czardasza zaś brakło muzyki i ochotników. To też nie mogę powiedzieć, by zabawa wrzała. A jednak humory mieliśmy doskonałe, bo oto przed samym „balem“ przyszła wiadomość, że nazajutrz o świcie — odmarsz.

Ze śpiewem wyjeżdżaliśmy z tych mroczno-posepnych gór. Pierwsza kwatera na równinie węgierskiej w zamku, co prawda pustym — Voynag skończyła się śmiercią jakiegoś barana i wspaniałą uctą.

W parę dni później byliśmy już pod Kirlibabą u wrót Bukowiny. Kwatery tamtejsze nie zostawiły nam żadnych wspomnień, a to z tej przyczyny, że ich wcale nie było. Pięć dni i pięć nocy marzliśmy przy dwudziestu kilku stopniowym mrozie na świeżym, górskim powietrzu.

W pierwszą z tych nocy, spędzoną na Prysłopie, przełęcz wyniosłej na 1.400 m. nad poziom morza, można było przynajmniej konie przed wściekłą zadym-

ką w zbudowanych z desek barakach ochronić. Baraki te były jednak tak wąskie, że po wprowadzeniu dwustu koni obu naszych szwadronów, przeciskanie się między ogonami końskimi, a ścianą, połączone było z niebezpieczeństwem życia. Pod łbami końskimi wzdłuż żłobów, też przejść się nie dało, gdyż biedne stworzenia, rozjątrzone głodem i zimnem, gryzły się i kopały całą noc. Dotąd nie rozumiem w jaki sposób rozsiodływanie w tych warunkach skończyło się tylko na kilku lżejszych wypadkach.

A była to dopiero pierwsza noc tej bitwy. Ile się nasze koniska wycierpiały w czasie dni następnych, to mogłyby tylko te wśród nich opowiedzieć, które w liczbie czterdziestu siedmiu do końca dotrwały. Aleśmy też na nich wreszcie jako przednia straż armii wjechali — do zdobytej Kirlibaby.

Pierwsza noc spędzona w Kirlibabie o tyle była przykra, że naprzód trzeba było pochować pomarłych z ran żołnierzy rosyjskich, których wszędzie po kwaterach było pełno. Ludność za to niemiecka miasteczka witała nas jak zbawców. W pamięci utkwiała mi szczególnie jedna scena. Oto z pewnego domu wybiegła na nasze spotkanie śliczna i wiotka dziewczyna. Cere miała białą jak wosk, oczy w głąb zapadłe. Pytamy się jej o kozaków. A ona odpowiada: „Nie widziałam ich; przez dziesięć dni pobytu tutejszego Moskali siedziałam zamknięta w piwnicy. Czuję się, jakbym z grobu wstała!“

Uwolnienie tej jednej panienki z takiego położenia sprawiło nam równą radość jak zdobycie całej Kirlibaby.

Rozpoczął się tryumfalny pochód ofensywy bukowińskiej. Kraj ludny, bogaty i stosunkowo mało zni-

szczony. Kwatery wszędzie gościnne, jadła, owsa, siana w bród. Kimpolung, Wama, Seletyn, Berhomet, Fuldo-Mołdawa, Czartorya, przesuwały się w szybkim tempie. Im bliżej granica Galicyi, tem lepiej. Zresztą działo się tak zawsze. Po polskich kresowych dworach serdeczne przyjęcia — aż żal, że trzeba iść naprzód, że odpocząć nie można. Wreszcie przejście w bród Czere-moszu i Prutu i — Śniatyn.

Tam już całe deputacye, cechy z chorągwiami, długie mowy burmistrzów i radnych, chlebem i solą witają. Na kwaterach gościnność taka, że aż onieśmiela. Żywią nas za darmo, nie chcą brać pieniędzy. Salony oddają, jako pomieszczenie. Potem Kołomyja i pierwsza po pół roku „kawiarnia z muzyką“. Po dzikich przestrzeniach karpackich, po ubogich wsiach ruskich, Kołomyja wydaje się nam czemś w rodzaju Paryża. Można tam przecie zegarek naprawić, buty kupić, nawet i książki polskich dostanie.

Ale już nazajutrz wymarsz. Stanęliśmy dopiero na dłużej w Oleszy nad Dniestrem. Kilkudniowy pobyt w tej wsi, to znów jasne słoneczne wspomnienie. Kraj-obraz zimowy okolic nad krętą, niebieską wstęgą Dniestru tak piękny, że warto umyślnie z Colorado przyjechać, żeby go oglądać. Czują to widać miejscowi ludzie, bo sami dorodni i ślicznie odziani... Chłopy rosłe w barwnych, suto baranami wykładanych kozuchach, dziewczki drobne w czarnych zapaskach i białych naszywanych czy tkanych koszulach. Motywy kwiatów znów inne, ni to góralskie, ni to węgierskie, ni bukowińskie, ale jakieś samorodne, tam stworzone i tylko na tym skrawku ziemi zachowane.

Utkwiło mi w pamięci jedno wspomnienie z pod-jazdu do Budzynia, wsi sąsiedniej. Jeździliśmy tam

ciągle, dla strzeżenia brzegów Dniestru, na patrole, które nieraz przemieniały się na istne polowanie na Kozaków, kręcących się po przeciwnym brzegu. Zajechaliśmy w pięciu koło południa, głodni jak wilcy, bo wy-jechaliśmy z Oleszy przed świtem i naczczo. Wedeta obserwacyjna stanęła nad rzeką, a reszta poszła do wsi po zapasy. Otoczono nas wokół wieńcem. Każda gosposia ciągnęła do swej chaty. Zasiadliśmy za stołem u nie najbrzydszej, a wokół nas stanęło ze 20 młodych jedna ładniejsza od drugiej. Od jesieni odcięte były od świata przez rosyjski zalew, to też pragnęły duchem wiadomości. Niejeden brat, czy mąż wyruszył w pole i dotąd znaku życia o sobie nie dał. Bo i któreży?! Słuchały nas z otwartemi szeroko oczami, słuchały opowieści o bitwach w Karpatach, o przejściu Bukowiny i o tem, jak to teraz Moskale się cofają poprzez Czere-mosz i Prut i aż het za Dniestr. Słuchając nie próżnowały. Każda z nich miała w zanadru pęk barwnych nitek, cienkich jak jedwab, w ręku długą igłę i zgrabnie a szybko na białem, samodziałowem płótnie wyszywała wzory. Jasnowłose dzieciaki obsiadły okapy pieca i patrzyły z góry jak aniołki Berniniego.

Doskonała kulesza znikła w mig z talerzy i po zmianie wedety pojechaliśmy dalej w stronę Delawy. Jeszcze rozmawialiśmy z towarzyszami o tej ładnej scenie, widzianej przed chwilą, gdy kule kozackie, wysyłane gdzieś z nadbrzeżnych chat Koropca brzęczeć zaczęły między końmi. Tym razem kozacy byli myśliwymi. Ale w parę dni później w tem miejscu wpadli oni w potrzask zastawionej przez nas zasadzki.

Tymczasem na lewem naszym skrzydle przemoc rosyjska wymusiła wygięcie i cofnięcie frontów. Trzeba było tę zacną Oleszę opuścić. I nigdy ofiarność ludności

nie wyszła tak dobitnie na jaw, jak właśnie wówczas. Położenie znali dobrze, gdyż sami, przynosząc wiadomości gdzieś z pod Halicza, wiedzieli o tem, że z konieczności zostawiamy ich znów na łaskę i niełaskę losu. Ale w tym twardym ludzie nie osłabiło to serca. Do ostatka byli nam pomocni przy rozbieraniu linii telefonicznej, obdarzyli nas zapasami na drogę, nie biorąc za to pieniędzy i patrzyli na nas z ufnością: „My wiemy, że wy nie jutro, to za miesiąc znów do nas wrócicie!“

I tak się złożyło dziwnie, że naprawdę wróciliśmy nazajutrz. Legiony wzięły Tłumacz z powrotem, a my flankowaliśmy ten atak przez Oleszę. Trzeba było widzieć radość tych zacnych ludzi, gdyśmy się znowu zjawili. Nie dbając na to, że patrole kozackie są jeszcze na końcu wsi, urządzili nam wprost manifestację, wynosząc chleb, masło, ser i to wszystko, czem chata bogata.

Radość z powrotu nie trwała długo, bo znów przyszło nam się cofać. Uwoziliśmy stamtąd jedną myśl: „Bodajby ta Olesza wyszła z wojny cała!“

Minęło wiele miesięcy. Kiedyś w wagonie spotkałem oficera armii, który wracał z za Dniestru i był również w Oleszy. Od niego dowiedziałem się wreszcie o jej losie: otóż nie spalono jej. Pomimo trzykrotnego przemarszu wojsk walczących, z opresyi wyszła cała. Załuję, że ustawa nie przewiduje odznaczeń dla jednostek zbiorowych. Za uczynność, za odwagę przekonań i za spokojną pewność w ostateczne zwycięstwo, powinna Olesza dostać złote „Signum laudis“.

W sąsiednim majątku w Jezierzanach zdarzył się zabawny wypadek, który dla charakterystyki ułana podaję. Do plutonu III pułku wstąpił w Kołomyi wła-

ściciel Jezierzan, Jakubowicz i wojował z nim dzielnie od blisko dwóch miesięcy. Zdarzyło się raz, że po kilkudniowym forsownym marszu, w czasie którego nie było poprostu możności dostarczyć koniom pełnego obroku, zajechał pluton na dziedziniec jego rodzinnej wioski i przystanął na krótki odpoczynek. Pierwszą myślą naszego ułana było rzucić się do spichrza, w którego skrytkach schowany był zapas owsa. Towarzysze podążyli naturalnie za nim. Lecz w chwili dobierania się do cennego zboża wpadł na nich z kijem karbowy: „A wy złodziejskie syny, a wy hultaje!“ posypało się odpowiednio podniesionym tonem. Jakież było jego zdziwienie, gdy na czele rabującej bandy rozpoznał swego dziedzica! Ustąpić musiał przed jego powagą, ale też dopilnował sumiennie tego, by porcja owsa z kasy pułkowej była należycie zapłaconą.

Morał z tej historyjki wywodzi się taki, że gdy koń głodny, to ułan potrafi zrabować własne swe dziedzictwo—lecz później zapłaci. Dla zatarcia złego wrażenia muszę dodać z dumą, że nasz szwadron jako całość, dotąd po roku wojny krzywdy ludzkiej na sumieniu nie ma!

W czasie pięciodniowej bitwy bortnickiej kwatrowaliśmy w zabudowaniach folwarcznych. Był to okres może najbardziej szarpiający nerwy z całej wojny. Mróz trzymał tęgi, śniegi spadły ogromne, a ludzie i konie przemęczone były setnie ciąglą, nieprzerwaną od jesieni służbą.

Byliśmy wówczas osłoną stojącej wówczas opodal bateryi. Przez pięć tych dni od samego świtu do nocy waliła rosyjska artylerya w stanowiska naszych armat. Szrapnele i granaty były raz za razem. W najbliższym sąsiedztwie, topole rosnące przed stodołą posiekane

były jak sito, wokoło czarne jamy od wybuchów granatnich zagęszczały się z każdym dniem; kilka pocisków trafiło w bróg słomy, stojący o 25 kroków, na dziedzińcu leżały zabite konie, dachówki na stajniach szczyrbili się od szrapneli coraz bardziej, jak również dwór, w którym kwaterował pułk. Zieliński miał potraskane szyby. A my nie widzieliśmy nawet nieprzyjaciela, który do nas strzelał!

Takie bezczynne czekanie jest stokroć gorsze od ataku na bagnety lub szarży. Przez pierwsze dwa dni oczy śledziły mimowoli za każdym chichoczącym już z daleka pociskiem. „Trafi czy nie trafi?“ — szło przez myśl pytanie. Potem przyszła obojętność. Znalazły się karty, więc złożyliśmy partyę bridge'a na słomie i graliśmy po całych dniach. Zaczny nasz karykaturzysta rysował i podtrzymywał nam humor. W godzinach popołudniowych rosyjska obsługa armat jadła obiad, więc strzały były rzadsze, co pozwalało i nam jedzenie dowozić, choć parę razy granaty o mało co nie rozerwały kotłów.

Piątego wreszcie dnia 15 marca zluzowano nas i odesłano na dwutygodniowy odpoczynek do Kołomyi. Czas był już na to, bo szwadrony stopniały przez straty w zabitych, rannych i chorych do niewielkich plutonów.

Przejazd do Kołomyi z linii bojowej był zarazem powrotem do dawno nieznaney kultury. Rotmistrzowi i oficerom przyznano na kwatery pałacyk w sąsiedniej wsi K. Trzeba wiele miesięcy mieszkać po chłopskich chatach, trzeba niejedną noc spędzić na śniegu, by móc ocenić nasze wrażenia z ówczesnych inkrutowin na nowe siedlisko.

Dwór w K. był urządzony z przepychem. Właści-

ciele odjechali go widać w popłochu, skoro zastaliśmy go w takim stanie, jakby wczoraj jeszcze tu kto mieszkał. Szcześciem dla nich — a dodam i dla nas — rosyjska inwazyja nie tknęła go zupełnie. Gustownie urządzona sala jadalna, z całą nawet srebrną zastawą, obszerne salony, pokoje gościnne, łazienka, cenne obrazy na ścianach, bajecznie wygodne łóżka, jednym słowem to wszystko, co kultura życia codziennego uważa za naturalne, a co na wojnie staje się wprost marzycielską fantazyją — otoczyło nas znowu. Więcej jednak niż te zbytki, ucieszyły nas jeszcze muzykalne skłonności nieobecnych i nieznanych nam gospodarzy domu. Dwa fortepiany, w tem jeden Blüthner, pianola i trzy gramofony, to jak na jeden dom, inwentarz instrumentów niemały! To też od chwili zajazdu rozpoczął się nieustanny koncert, któremu trzeba było aż przez ogólne głosowanie w końcu kres położyć. Szwadronowi muzycy rzucili się do fortepianów, nie muzycy, lecz muzykalni, do pianoli, a inni do gramofonów i powstała stąd taka kakofonia sonat, walców, fug, solów operowych i operetkowych kawałków, że aż rotmistrz musiał się wdać w interwencję.

Jednemu z nas przydzielono pokój panny domu. Że był to pokój paniński, świadczyły najlepiej zawieszane jeszcze w szafie sukienki i poróżstawiane na biurczku „łapikurze“, to zn. różne porcelanowe pieski, wazoniki, puste kałamarzyki i tysiąc tych drobnych drobiazgów. Brakowało rzeczy najważniejszej, to jest fotografii ich właścicielki. Został jednak dokument, który przypadkowemu mieszkańcowi wystarczył do wyrobienia sobie pewnego obrazka o jej psychologii.

Właścicielka wybaczy mu, że ten dokument po wojennemu zarekwirował i w ułańskiej ładownicy tak

długo go woził, ale gniewać się aśćka nie powinna. Po pierwsze był on strasznie miły, a powtóre nikt nie będzie wątpił, że ułożony przed wojną, teraz już panienkę, zapewne po dwóch latach dorosłą, nie obowiązuje.

Dokument ten spisany ładnem wyrobionem, choć nie jazłowieckiem pismem na szarym papierze przybity był czterema pluskiewkami nad biurczkiem i brzmi dosłownie tak:

Plan obowiązuje mnie ściśle na tydzień od 24/VII do 30/VII (wyjąwszy niedzielę).

7 godzina wstawanie natychmiast (bez opieszalności).

7.20. Gimnastyka (intensywna).

7.30. Spacer z konwersacją obcego języka.

8—8¹/₂. Ubieranie się (? przyp. wydawcy), śniadanie.

8¹/₂—9¹/₂. Poważna lektura (Tarnowski).

9¹/₂—11. Muzyka.

11—12. Czytanie z Lilą (Faust) (! przyp. wyd.).

12—1. Czas dowolny (ewentualnie pisanie listów).

1—1¹/₂. Czytanie duchowne z Ancią (Wieczory nad Lemanem, X. Teodorowicz).

1¹/₂—3. Obiad.

3—3³/₄. Angielskie.

3³/₄—4¹/₂. Czas wolny lub lektura lżejsza. (Jaka!? przyp. wydawcy).

4¹/₂—5. Podwieczorek.

5—6. Czytanie wspólne z Ancią i Lilą.

6... aż do kolacyi czas wolny, spacer, sport, rozmowa (?! przyp. wyd.).

Po drugiej stronie arkusiku był jeszcze szkic planu Anei i Lili, spisany ołówkiem, lecz niestety w ciągu długich marszów zatarał się i jest już nieczytelny.

Wybuch wojny światowej i rosyjska inwazyja prze-

szkodziła niestety temu, bym się mógł dowiedzieć, jaka lektura obowiązywała panienkę między 1 a 7 sierpnia 1914 r. Ale zyskał na tem dokument, stał się historycznym.

W tym czasie przybyła z Toporem szwadronowa kadra z Moissina i uzupełniła nam luki wyszczerbione wojną. Dla braku pomieszczeń szwadron przeniósł się do sąsiedniej wsi Korolówki, a tylko sztab jego we dworze pozostał. Przyszły co prawda dyspozycje co do opuszczenia dworu dla zrobienia miejsca innym gościom, lecz po kilkudniowem doświadczeniu administrator miejscowy udał się do wyższych komend z prośbą, by nas na kwaterach zostawić, co też pomyślnie dla niego i dla nas się załatwiło. Dowodzi to, że umieliśmy uszanować kulturalne otoczenie. Przed samym jednak wyjazdem stosunki z administracją popsły się, z powodu jakiejś drobnostki, zdaje się, kucia koni w dworskiej kuźni, dość na tem, że miało to dla nas przykre następstwa.

Oto w parę tygodni później doszło do naszej komydy od bardzo wysokich instancji wezwanie, by administratorowi majątku K. zwrócić natychmiast kwotę 12 kor. za zniszczenie klombów róż i 3 kor. 50 h. za oderwane zawiąsy. Innych należytości do zapłacenia nie było, gdyż wszelkie rachunki za siano i kwatery uregulowaliśmy ku obopólnemu zadowoleniu. Kwota żądana była śmiesznie małą, ale celowość całej awantury i podjętych kroków zbyt widoczną. Nie, panie administratorze! Ani pan, ani panu podobni, którzy chcieli w ten sposób na szwank narazić opinię Legionów celu nie osiągnęli, a chyba się nie zdziwicie, że raz publicznie na tym przykładzie fakt taki przyszło mi napiętnować.

W parę miesięcy po uregulowaniu tej sprawy prze-

jeźdzaliśmy koleją koło pałacyku w K. Powtórna inwazyja rosyjska zaznaczyła ostro swe ślady. Stylowy dach dworku świecił bliznami od szrapneli rosyjskich. I mimowoli przyszło mi na myśl, czy też nie oszczędziły one również klombów róż przed domem pana zarządcy, gdy płonęły lasy?!

Lecz poco wspominać rzeczy przykre. Wszak wazniejszą by była dla nas wiadomość, że ładne obrazy i cenne pianina, a przedewszystkiem pokoik panienki pozostał nietkniętym.

Niestety, spytać się nie dało. Sąsiednia Korolówka, w której szwadron kwaterował, uległa, jak słyszałem, straszemu pożarowi w czasie bitew. A i tej wsi nam szkoda. Dowiodło bowiem jak mało która inna, że urok polskiego ułana wśród ludu dotąd się nie zatarł. Przekonaliśmy się o tem w chwili odmarszu, po dwutygodniowym pobycie. Na dziedzińcu folwarczym zebrał się tłum młodych miejscowych, z którego po komendzie „Stępa, marsz!“ zerwał się taki płacz głośny, jaki słyszałem chyba po bardzo ostrem kazaniu.

Zapewne i nie jeden ułan nie tęgą miał minę.

Losy wojny rzuciły nas znów na Bukowinę, w okolicę Czerniowiec. Pierwsze kwatery na tej ziemi przypadły nam w udziale we wsi Kotul-Ostrica, między Mahalą a Bojanem i dały nam nową sposobność rozszerzenia zbieranych na wojnie wiadomości etnograficznych. Kotul-Ostrica była wsią czysto rumuńską. Białe, schludne i stylowe domy złączone były labiryntem ogrodzonych wysokimi płotami dróg. Typ to wsi odmienny od naszych. Nie ma tam tej osi, jaką tworzy zwykle droga główna między dwoma rzędami chat, lecz oddzielne zagrody porozrzucane są w ten sposób, że wieś tworzy

pewnego rodzaju czworobok. Trafić z jednego końca wsi na drugi do własnej kwatery szczególnie w nocy było nawet dla naszych ułanów o wyrobionym już w polu zmyśle orientacyjnym nieraz trudną rzeczą. Zdarzyło się to nieraz że po godzinnem bląkaniu się między wysokimi plecionymi opłotkami człowiek znajdował się w tem miejscu, z którego wyszedł. Ludność do tego stopnia „niedogadana“, że na słowach „Ne sciu! Rumunesci!“ kończyły się wszelkie indagacye o właściwy kierunek drogi.

Ponieważ obie strony walczące zachowywały z pobocznych powodów pewne względy w obchodzeniu się z nimi, więc lud tamtejszy patrzył na wojnę ze stoicyzmem i powiedziałbym z obojętnością. Nie wpływała ona bynajmniej na zmianę trybu życia, to też mogliśmy się mu do woli napatrzeć. Kwarta krwi latyńskiej płynąca w żyłach tych Rumunów przejawia się w typach kobiecych trochę włoskich, w sztuce ludowej i ubiorze. Krótka zapaska tam noszona — może odległy ślad togi — przypomina obcisłą formą zmodernizowaną w Paryżu „robe colante“, czy „robe entravée“; bufiaste białe rękawy ślicznie dzierganych koszul, na nie zarzucony kożuszek bez rękawów, jak dawny kabacik z białej skóry naszywanej jedwabiem, na nogach kierpce z rzemykiem w krzyż zaplatanym, jak u dawnych Rzymian, na głowie biały czepeczek z lekka fryzowany ze sztywnego płótna, oto strój rumuńskiej białogłowy. Ubiór męczyzn nie mniej barwny, z wstęgami czerwonymi u koszul i z naszyciami na białych kożuchach. Zresztą prawdziwych elegantów spotkać było trudno. Co było młodzieży to poszło na wojnę, po wsiach zostały dzieci, kobiety i długowłosi starcy.

Ściany izb wszystkich wyłożone do tego stopnia ki-

limami, że nieraz robią wrażenie namiotów. W bogatszych domach sztuki zwiniętych tkanin leżą na półkach i czekają na weselisko w rodzinie, by ubrać nowy dom młodego małżeństwa. Główną częścią izby mieszkalnej jest pod względem architektonicznym ciekawie zbudowany piec, który razem tworzy komnatę sypialną. W czasie mrozów cała rodzina siedzi stale w górze „na zapiecku“. W okół ścian biegną dębowe ławy, które służyły nam za posłanie. Tak twardej desek nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać.

Może nie tyle winne temu deski, jak raczej brak słomy. Zbóż tam mało, a jedyny plon to kukurydza. Żółta mamałyga jest jedynym jadem, na rano, w południe i na wieczór. Ciemne łodygi kukurydzy wyrosłe na podłożu tak bogatym w azot, nadają w lecie krajobrazowi koloryt włoski. Na wietrze szumią te łany ostro jak szmer piasku w ogromnej klepsydrze.

Wówczas jednak łany jeszcze nie wyrosły. Wszak to powoli dopiero robiła się wiosna. Od granicy rumuńskiej przysły ciepłe wiatry, które topiły resztki śniegów w zagłębieniach rowów.

Czas nam płynął tam wesoło; ciekawe nocne ataki, w których braliśmy udział, patrole konne wywiadowcze pod szanice rosyjskie urozmaicały nam pobyt. Korzystając z wolnego czasu, szwadronowi jubilerzy wzięli się do wyrobu pierścionków z aluminiowych zegarów szrapneli, które od czasu do czasu zlatywały się i pękały nad naszymi kwaterami. Przykrym jedynie był brak kontaktu z innymi oddziałami Legionów, które porzrucane były na bardzo szerokim froncie. To też z przyjemnością dowiedzieliśmy się o rozkazie, łączącym nas znów w jedną bojową jednostkę. Koncentracja

nastąpiła w Czerniawce, skąd pomaszerowaliśmy do Dobronowiec nad granicę Besarabii.

Wieś ta w zupełności była ruska. Ta różnorodność narodowa na Bukowinie dodaje jej nie mało wdzięku, choć czasem wydaje się powierzchowna. W Rarańcu kwaterowałem raz u rodziny, w której ojciec był Niemcem, matka Rusinką, a córka doskonale mówiła po polsku. Gdy się raz zapytał, jakiej właściwie są narodowości, odpowiedziano mi równocześnie w trzech różnych językach: „My jesteśmy Bukowińczycy!“

Dobronowce (a więc wieś ruska) zostawiła nam mniej przyjemne wspomnienia. Nie gościła nas jednak długo, gdyż zostawiając konie w dole, poszliśmy pełnić po raz pierwszy piechocką służbę w rowach strzeleckich.

Rozpoczął się dla nas sześciotygodniowy okres mieszkania pod gołym niebem. Pozyce nasze leżały w lesie, rowy i ziemianki były dobrze i wygodnie zbudowane, to też życie tam było znośne. Służba ta jednak dla niewyszkolonego w niej ułana nie jest przyjemną. Brakuje mu konia, do którego się przywiązał i o którego dba więcej niż o siebie. Zostawianie wierzchowca pod cudzą opieką, choćby nim był kolega z plutonu, miłym nie jest. Pozatem koń dostarcza na wojnie ciągłego zajęcia, odrywa myśl od przykrej nieraz rzeczywistości, a przez to dobrze działa na ogólne usposobienie. Ułan, przeniesiony nagle w okopy, wybudowane już przez poprzedników, nie wie, co robić z czasem, nudzi się, traci humor, a przez to staje się mniej wytrzymałym.

Służba kawaleryjska wyrabia temperament i nerwowość. Jeździec musi mieć w żyłach popęd do nagłego ataku, do szybkiego przerzucania się z miejsca na miejsce, do walki w otwartym polu. Tymczasem żołnierz

piechoty, o ile bywa nerwowy, jest do niczego. Cierpliwość, wytrzymałość, spokój, ostrożność, napięcie uwagi, oto jego główne zalety. Z tego zestawienia wynika, że dobry ułan będzie złym piechurem i naodwrot. To mimowolne, odruchowe przeciwieństwo do służby żołnierza pieszego, tak zw. „bomberaka“ wyraziło się w zwrotce, ułożonej w szwadronie, a dodanej do znanej piosenki:

Dadzą mi buciki z ostrogami
I siwy kabacik z wyłogami
Dadzą mi konika cisawego
I ostrą szabelkę do boku mego.
Dadzą mi łopatkę i bagnecik
Nie będę bomberak, żebyś się wścik.

Ale też ta „bomberadzka“ praktyka dobrze nam z drugiej strony zrobiła. Nauczyliśmy się cenić i poważać żołnierza piechoty — naszego „relutona“. Trzeba samemu przejść przez okopy, by poznać, ile zaparcia sobie nieraz podobna służba wymaga. Pod koniec pobytu w rowach przetrzymaliśmy tydzień nieustannych ataków rosyjskich. Linia nasza odparła je zwycięsko, lecz ogólne położenie zmusiło nas do chwilowego opuszczenia pozycji. Marsz ten 36-kilometrowy odbyliśmy na piechotę, mając za sobą konne patrole kozackie. Irytowało nas to strasznie, to też z satysfakcją wsiadaliśmy nazajutrz znów na siodła. Po przejeździe Prutu biwakowaliśmy dalej na wolnym powietrzu, lecz w tak ślicznym otoczeniu, że biwak ten był lepszy od najlepszej kwatery.

Na stanowisko wyznaczono nam sad owocowy w Strzeleckim Kącie, okryty kwieciami jak śniegiem. Konie uwiązane do pni drzew, karabinki i szable zawieszane na kwitnących jabłoniach, a wśród nich gro-

madki ułanów, to obrazek wprost tak inscenizowany, że aż wyglądał na bajkę. Nie dziw więc, że malarze szwadronowi chodzili w złotych humorach i coraz to inny kraj ogrodu przenosili na papier.

W Cecynie pod Czerniowcami rezydował szwadron w czterech willach, położonych tuż pod wierzchołkiem lesistej góry. Widok stamtąd był wspaniały. O ćwierć mili Czerniowce z kopułami ormiańskiej katedry, a w dole niebieski Prut, za nim wsi kilka powiązanych łańcuchem rosyjskich rowów strzeleckich. Wieczorem mgły stawały z nadbrzeżnych wiklin i szły ku nam w górę, wypełniając dolinę, jak szare, nagle spiętrzone jezioro. Tylko światelka czerniowieckich domów przeświecały przez jego głębie, jak potopione w falach gwiazdeczki. Willa była wystawiona tuż przed wybuchem wojny. Jakaś staranna i stylowa ręka zajmować się musiała jej urządzeniem. Każda kłamka u drzwi, każdy fryz na piecach świadczył o dobrym guście jej właścicieli.

Z mebli pozostały tylko w drzewie wyrobione stoły i krzesła ludowej sztuki stosowanej. W sali jadalnej stało jednak jeszcze opuszczone pianino, a nad drzwiami wisiał japoński gong, który zwoływał nas dzwiecznym brzękiem w obiadowej porze. Na okolicznych łąkach pasły się nasze konie. Do willi tej powrócili jako rekonwalescenci Włodek, Jagrym i Nowakowski, przywołując nam znów świeże wiadomości z kraju, do którego tęsknota brała nas coraz większa.

W czasie pobytu w Cecynie patrole nasze przygotowywały powoli plan do nowej ofensywy. I rzeczywiście w pierwszych dniach czerwca przekroczyliśmy po raz już trzeci linię Prutu. Wśród słonecznej pogody rozpoczął się radosny pochód naprzód. W Hlinicy nocowa-

liśmy na folwarku, opuszczonym przed kilku godzinami przez Kozaków, w Sadogórze piliśmy herbatę zaparzoną przez oficerów rosyjskich, do Rarańcza wpadliśmy po świeżych śladach rosyjskich dragonów, na wzgórzach między Rarańczem a Rokitną spędziliśmy noc pod konarami silnych starych dębów między świeżo wykopany-
mi szańcami.

* * *

Nadszedł dzień 13 czerwca a z nim pamiętna szarża na poczwórne rosyjskie okopy.

Pod wieczór tego dnia zebrali się pozostali przy życiu ułani 2-go szwadronu w chłopskiej chałupie we wsi Rarańczu.

Było nas kilkunastu. Przed chwilą wróciły ostatnie patrole i doniosły o tem, że chwilowo pod okopy rosyjskie dojść nie można i że zdążono pozbierać zaledwie kilku rannych, którzy na samym początku szarży z koni spadli; oprócz nich jednego zabitego ułana Kubika. — O reszcie towarzyszy wiadomości brak. Kilka-naście rannych koni zdołano do wsi doprowadzić.

Zapanowała cisza...

Trwała ona długo...

Lecz na wojnie czasu na żale niema. Trzeba było się policzyć i zestawzić listę strat w ludziach i koniach. Było to o tyle trudne, że z oficerów nie wrócił żaden, a ze starszych szarż zdrowy wrócił tylko jeden wachmistrz. Raport poranny z nazwiskami i ilością tych, którzy dnia tego byli na linii, zaginął wraz z wachmistrzem szwadronowym Adamskim. Trzeba było z pamięci notować nazwiska nieobecnych. Cicho padały pytania i odpowiedzi.

„Pluton pierwszy. Wachmistrz Sokołowski? — Ran-

ny. Kapral Karasiński? — Niema go. — Kapral Sperber? — Niema go. — Meczke? — Zaginął...

Pluton drugi. Wachm. Jagrym? — Brak go. — Kapr. Chwalibóg? — Nie wrócił. — Łuszczewski? — Niema. Kapr. Brinken? — Wrócił ranny, leży w szpitalu“.

I tak szła litania nazwisk, a w odpowiedziach leżała ta straszna niepewność: zabity, ranny, czy w niewoli?

Wywołano nas przed chatę. Żołnierz z piechoty przyprowadził rannego konia, schwytanego na linii. To „Kolega“, koń Jagryma, a gdzie jego pan? Strzemię lewe przestrelone odpadło, na siodle krew...

Zestawiliśmy inne konie w rząd. Po śladach na kulbakach, po kierunku ich ran można było odczytać historię jeźdźców, którzy na nich jechali. Niestety było ich tak mało! Ktoś poszedł do szpitala i wnet dał znać, że przywieziono rannego Sperbera i Stembartha. Może w ciągu nocy da się odszukać rotmistrza, Włodka i Topora?!

Przed świtem wyruszyły patrole na linię. Dojechaliśmy do opróżnionych przez Moskali okopów, lecz na to, by się o smutnej prawdzie dowiedzieć. I tak jednak udało się 3-ciemu szwadronowi odbić z niewoli trzech rannych ułanów, w tej liczbie Meczkego.

— — — — —
Po uroczystym pogrzebie poległych, po odesłaniu rannych ludzi i koni do szpitala szwadron 2-gi zorganizował się na nowo, i czwartego dnia, co prawda w rozmiarach jednego plutonu, pełnił już służbę bojową. — Ochoty do dalszej walki nie zabrakło, dawna jednak wesołość wrócić już nie mogła. O ile dawniej kwatery rozbrzmiewały wieczorami pieśnią i humorem, to teraz stajnie w Rarańczu ciche były jak domy żałoby.

Minęło trzy tygodnie; lżej ranni ułani i konie wrócili

ze szpitali, wielu nowych zgłosiło się bezpośrednio po szarzy z naszej dzielnej piechoty, co było najlepszym dowodem na to, jakie wrażenie zrobił na nich ten ułański atak, więc powoli szwadron rósł znowu w liczbę.

Przyszła raz pogodna, ciepła, lipcowa noc. Niebo wyskrzzone było gwiazdami, większą ciszę przerywały tylko rzadkie strzały placówek na pozycjach. Siedzieliśmy na kamieniach przed stajniami.

Nagle ktoś zaczął nucić, wnet ozwały się inne głosy i już całym chórem popłynęła ulubiona piosenka rotmistrza Wąsowicza:

Tam w Krakowie bębny biją,
A ułani maszerują
I jabym też maszerował,
Żeby mi kto konia siodłał.

Starsza siostra usłyszała
Poszła konia osiodłała,
A młodsza się rozplakała.

Nie płacz siostró, nie płacz brata
Brat powróci za trzy lata.
Trzy lata już przemijają
Siostry brata wyglądają.

A brat leży w szczerem polu
Trzyma głowę na karku...
A przy nim koniczek jego
Grzebie nóżką, żałuje go.

Za tą pieśnią poszły inne i przeciągnęły się długo w cichą, letnią noc lipcową.

To były pierwsze nasze śpiewy po rokitniańskiej, krwawej szarzy.

— — — — —
Po długim pobyciu w Rarańcu przyszło nam jechać

na Północ. Z wagonów wysiedliśmy w okolicy prawie pustej, gdzie były tylko lasy, piaski i błota. Stajni było brak, a noce szły mroźne, więc ułani zabrali się do stawiania baraków dla koni. Po trzech dniach gdy były już prawie gotowe i konie można było na noc tam wprowadzić, przyszedł rozkaz odmarszu. Ułani zaśpiewali z fantazją:

„Taki los wypadł nam
Że dziś tu a jutro tam“

i powędrowali w stronę, skąd dochodził gwałtowny huk armat.

A ziemia wówczas jak przed rokiem w Karpatach pokrywała się białym puchem śniegu i kry po rzekach szły coraz gęstsze.

Zapadaliśmy znowu na leże zimowe, ale już w licznym legionowem gronie. Bratnie szwadrony innych brygad urządziły nam kiedyś wesołe przyjęcie w obszernej ziemiance i popłynęły znów chórem długo nie śpiewane pieśni. Nucili je zgodnie ułani dywizyonów Beliny, Dunina-Brzezińskiego i Ostoi.

Bo zgodnie z treścią dorobionej rok temu zwrotki do piosenki: „A za jakie trzy kwartały, urodził się ułan mały“:

„A za dalsze trzy kwartały
Urodził się szwadron cały“

nowe szwadrony polskich ułanów idą wciąż do boju o wolność narodu.

Tylko żal brał za serce, że nasz rotmistrz Wąsowicz chwili tej nie dożył...

— — — — —
Jak nanizane paciorki koronki przesuwają się w pa-

mięci wojenne kwatery, w których wczoraj, przed miesiącem, przed rokiem gościłeś...

Przeżyć ich historię nie łatwo, spisać łatwiej, a przemyśleć ją można już w jednej godzinie nie przespanej nocy...

Świt zagląda przez małe, zamarzniete okienko. Do izby wchodzi stary, o długich, siwych włosach Pole-szuk i rozpala na kominie ognisko. Przystanął przy ogniu, siwemi sennemi oczami w płomień się zapatrzył, o czymś дума czy marzy...

Za ścianą budzi się tupot kopyt. To konie niecierpliwie czekają godziny obroku.

Nagle znany mi głos się rozszedł. To moja „Vera“ przeciągle zarżała.

Czyżby i ona sobie wspomniała nasze ułańskie kwatery...?

Grudzień, 1915.



159016

SPIS RZECZY:

	Str.
Przedmowa L. H. Morstina	9
Objęcie dowództwa	11
Pierwsza bitwa	16
Pod Kirlibabą (Dwa dni z życia ułanów w Kar-patach)	26
Nocna wycieczka pod Bojanem	33
Z podjazdem	40
W szpitalu polowym	45
Nad Prutem	53
Poległym na polu chwały	74
Nasze szwadronowe konie	94
Ułańskie kwatery	113

